



9. Szczyt Inicjatywy Trójmorza w Wilnie



Bezpieczeństwo regionu, inicjatywa podwyższenia wydatków na obronność, zacieśnianie współpracy transportowej między państwami Trójmorza oraz rozwój relacji transatlantyckich – to tematy rozmów podczas 9. Szczytu Inicjatywy Trójmorza. Litwa była gospodarzem szczytu formatu łączącego 13 krajów Unii Europejskiej, położonych między Adriatykiem, Bałtykiem i Morzem Czarnym.

> strona 2

Współczesny sprzęt chirurgiczny dla szpitala dziecięcego we Lwowie



> strona 4

Nowy sezon wspólnych polsko-ukraińskich prac konserwatorskich



> strona 8

Zaczarowane instrumenty



> strona 16

We Lwowie uczczono ofiary katastrofy smoleńskiej

Pomimo codziennych alarmów powietrznych we Lwowie odbyły się skromne obchody 14. rocznicy katastrofy smoleńskiej. Zorganizował je Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej. 10 kwietnia 2010 roku to jeden z najtragiczniejszych dni w powojennej historii Polski. W katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem zginęło 96 osób – w tym prezydent, pierwsza dama, parlamentarzyści, duchowni i dowódcy wojskowi.

TEKST I ZDJĘCIE
KONSTANTY CZAWAGA

Symbolicznie o godzinie 9:41 czasu ukraińskiego, czyli 8:41 czasu polskiego – konsul generalny RP we Lwowie Eliza Dzwonkiewicz i polscy dyplomaci złożyli biało-czerwony wieniec i zapalili znicze pamięci przed specjalną tablicą ze zdjęciami 96 ofiar katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem, która stanęła przed budynkiem konsulatu.

– To tragiczne wydarzenie powinno nas uczyć tego, żebyśmy szanując i kochając naszą Ojczyznę nie dziellili się



– powiedziała dziennikarzowi Kuriera Eliza Dzwonkiewicz, konsul generalny RP we Lwowie. – Żebyśmy byli razem, bo na pokładzie tego samolotu byli przedstawiciele różnych frakcji politycznych, tak jak wspominałam. Ale łączyło ich jedno, niezależnie od formy, od zaangażowania politycznego. Oni wszyscy chcieli służyć naszej Ojczyźnie i kochali Polskę. Niech to będzie dla nas przestroga na przyszłość, żebyśmy się więcej nie dziellili. Ale dzisiaj w dobie wojny myślę, że ten ból straty polskiej inteligencji jest silniejszy, bo Ukraina również traci najlepszych synów i córki swojego narodu. I to jest wielka niesprawiedliwość, która się dzieje. Jeżeli możemy dawać świadectwo pamięci, powinniśmy to robić. Stąd tak liczna reprezentacja naszych konsulów tutaj pod tą tablicą. Ale świadectwo to za mało. Powinniśmy dbać o to, żeby do tych sytuacji więcej nie dopuszczać i jeżeli trzeba, to bronić własnej Ojczyzny.

Swoimi wspomnieniami na temat tragedii smoleńskiej dziellili się mieszkańcy Lwowa.

– Pamiętam bardzo dobrze ten dzień – mówi Justyna Janko, mieszkanka Lwowa. – Przyjęłam to z wielkim smutkiem, ale i z niepokojem.

> strona 2

Kardynał Marian Franciszek Jaworski a władze państwowe (1991–2008) cz. 3



> strona 20

Józef Nowakowski – organista katedry lwowskiej (1894–1990) cz. 2

> strona 22

Kod prenumeraty
УКРПОШТА
98780
46472

9. Szczyt Inicjatywy Trójmorza w Wilnie

dokończenie ze strony 1

W skład Inicjatywy Trójmorza wchodzi: Austria, Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Estonia, Węgry, Łotwa, Litwa, Polska, Rumunia, Słowacja, Słowenia i Grecja. Z tym formatem stowarzyszone są Ukraina i Mołdawia. Strategicznymi partnerami Inicjatywy Trójmorza są Stany Zjednoczone, Niemcy i Komisja Europejska. Na szczycie w Wilnie dołączyła do nich Japonia.

Polska obejmie prezydencję w Inicjatywie Trójmorza

W odbywającym się w Wilnie spotkaniu uczestniczył prezydent RP Andrzej Duda. Podczas sesji otwierającej Szczyt prezydent RP zauważył, że rosyjska inwazja na Ukrainę motywuje państwa regionu do pogłębienia współpracy w ramach Inicjatywy Trójmorza. – Neoimperialny reżim na Kremlu jasno zadeklarował wolę odbudowy rosyjskiej strefy wpływów w Europie Środkowej, wolę osłabiania, zastraszania i podporządkowywania sobie państw naszego regionu. Aby się temu przeciwstawić, musimy działać razem – mówił Andrzej Duda.

Jak dodał, skuteczne przeciwstawienie się rosyjskiemu imperializmowi „wymaga solidarnego zaangażowania oraz sprawiedliwego rozłożenia związków z tym ciężarów i obowiązków”.

Andrzej Duda przypomniał, że w czasie wizyty w Waszyngtonie wystąpił z inicjatywą ustalenia minimalnego progu wydatków państw Sojuszu Północnoatlantycznego na obronność. Podkreślił, że kilka dni temu wystosował list do wszystkich przywódców państw Sojuszu oraz sekretarza generalnego NATO Jensa Stoltenberga z uzasadnieniem tej propozycji.

– W obliczu rosnącego zagrożenia powinno to być już nie 2%, ale 3% rocznego PKB. Jeden z amerykańskich ekspertów ukuł nawet frazę „trzy morza – trzy procent wydatków na obronność”. Jestem przekonany, że trafnie wskazuje ona na istotę wyzwania, które stoi dzisiaj przed krajami naszego regionu – wskazywał Andrzej Duda.

W czasie konferencji prasowej prezydent Andrzej Duda zwrócił uwagę, że w ostatnim czasie obserwujemy coraz większe zainteresowanie współpracą w ramach Inicjatywy Trójmorza. Wyjaśnił, że w tym roku w obradach uczestniczyło



24 reprezentantów państw oraz przedstawicieli Komisji Europejskiej.

– Cieszymy się, że jako partner strategiczny dołączyła do naszego forum współpraca również Japonia, a wolę stowarzyszenia się z Trójmorzem zgłosiła Czarnogóra – mówił.

Prezydent wskazał, że powodem zainteresowania jest dobrze funkcjonująca współpraca pomiędzy państwami. Podkreślił, że jest ona wydajna, a jej efekty są widoczne w realizowanych licznych projektach.

– Mówiliśmy dzisiaj bardzo dużo o rozwoju infrastruktury – budowie Via Baltica, Via Carpatia, która bardzo szybko postępuje, w szczególności w Polsce. Mamy za zadanie wybudować ponad 600 km drogi i wierzę, że w ciągu kilku lat ukończymy wielką inwestycję – bardzo trudną, zwłaszcza na południu w terenie górskim – argumentował Andrzej Duda.

Prezydent RP podkreślał, że dzięki uruchomieniu interkonektorów gazowych w krajach Inicjatywy, budowie gazociągu Baltic Pipe, gazoportów i terminali LNG możliwe było porządnie sobie z kryzysem wywołanym nagłym odcięciem od rosyjskich dostaw. – Mimo, że Gazociąg Jamalski został przez Rosję zamknięty, a dostawy – wbrew

umowie – przerwane, nie zabrakło gazu ani dla naszego przemysłu w Polsce, ani dla gospodarstw domowych. To był wielki sukces współpracy Trójmorza – mówił.

Wskazywał, że Inicjatywa Trójmorza jest atrakcyjnym formatem ze względu na dobrze prosperujące gospodarki oraz zrozumienie, że wzmacniając współpracę w zakresie infrastruktury: energetycznej, drogowej, kolejowej – zapewniamy bezpieczeństwo w tej części Europy.

Prezydent zauważył, że jest to ważne szczególnie w czasie trwającej wojny na Ukrainie, kiedy potrzebna jest zdolność do szybkiego interweniowania, w tym do przekazywania wsparcia.

Andrzej Duda poinformował, że kolejny Szczyt Inicjatywy Trójmorza odbędzie się w Polsce. Jednocześnie podziękował prezydentowi Węgier Tamásowi Sulyokowi za odstąpienie Polsce prawa do organizacji Szczytu w 2025 roku.

Prezydent Wołodimir Zełenski o wsparciu dla Ukrainy

Prezydent Ukrainy Wołodimir Zełenski wezwał uczestników szczytu Inicjatywy Trójmorza do wzmocnienia sprzeciwu wobec Rosji. – Musimy być szczerzy: sojusz jest

testowany właśnie tutaj – w obronie przed rosyjskim terrorem. I żeby te same rosyjskie rakiety nie latały nad Wilnem, Warszawą czy Kiszyniowem, nie powinny latać nad Odessą i Charkowem – oświadczył głowa państwa podczas przemówienia w Wilnie.

Wołodimir Zełenski podziękował wszystkim, którzy kontaktują się z partnerami Ukrainy i wykorzystują wszelkie możliwe metody i środki: dyplomację, media, pracę polityczną. I osobno podkreślał, że współpraca ze Stanami Zjednoczonymi ma fundamentalne znaczenie. Prezydent Ukrainy wezwał także państwa uczestniczące w szczycie do stworzenia jak największej liczby wspólnych przemysłów obronnych, a jednocześnie do podjęcia maksymalnych wysiłków w celu zablokowania dostaw do Rosji komponentów, które będzie mogła wykorzystać w swojej produkcji wojskowej.

To w tym roku musimy skoncentrować cały nasz wspólny potencjał na ochronie Ukrainy i niepodległości każdego narodu graniczącego z Rosją. Prezydent Wołodimir Zełenski oświadczył to podczas konferencji prasowej po wynikach szczytu Inicjatywy Trójmorza.

– Bardzo ważne jest, aby każdy z partnerów wywiązał się ze swoich obietnic dotyczących dostaw broni i amunicji, a także

naszych umów o wspólnej produkcji. Każdego dnia wystrzeliwane są rosyjskie rakiety, a liczba obietnic rośnie każdego dnia. Na co dzień ukraińscy żołnierze na froncie wytrzymują brutalny nacisk rosyjskiej artylerii i kierowanych bomb lotniczych. Rzeczywistość powinna wreszcie zacząć dopasowywać się do słów” – podkreślił prezydent Ukrainy.

Wołodimir Zełenski podkreślił, że priorytetem numer jeden jest wzmocnienie obrony powietrznej Ukrainy. – Mamy pilną potrzebę ochrony Charkowa, Odessy, Mikołajowa, Zaporozża i wszystkich innych naszych miast przed rosyjskimi atakami. Dziękuję każdemu przywódcy, który nas słyszy, jest gotowy pomóc w komunikacji z innymi partnerami, aby Ukraina wreszcie otrzymała systemy obrony powietrznej, które mogą nam pomóc. Istnieją na świecie i muszą chronić życie” – powiedział ukraiński przywódca.

– Ten rok powinien być czasem na podjęcie wszelkich niezbędnych kroków, które sprawią, że nasze zwycięstwo nad rosyjskim terrorem stanie się rzeczywistością. To jest możliwe. Ale jest to możliwe tylko w jedności – naszej z Wami i wszystkimi partnerami. I pod warunkiem, że rzeczywistość będzie odpowiadać naszym z Wami oświadczeniom i umowom – podsumował prezydent Zełenski.

Spotkanie prezydentów Polski i Ukrainy

Na marginesie Szczytu Inicjatywy Trójmorza prezydent RP Andrzej Duda spotkał się z prezydentem Ukrainy Wołodymirem Zełenskim.

Ukraiński przywódca podziękował Polsce za konsekwentne wsparcie Ukrainy i pomoc obronną. Wołodimir Zełenski odnotował udział kraju w czeskiej inicjatywie zakupu amunicji dla Ukrainy. Poinformował także Andrzeja Dudę o rosyjskich ostrzałach na obiekty energetyczne, likwidacji skutków i trudnej sytuacji w Charkowie.

Prezydenci Ukrainy i Polski rozmawiali o przygotowaniach do Światowego Szczytu Pokojowego w Szwajcarii, dwustronnej umowie o bezpieczeństwie oraz współpracy w zakresie przyszłego członkostwa Ukrainy w UE i NATO.

ŹRÓDŁO: NA PODSTAWIE PREZYDENT. PL ORAZ PRESIDENT.GOV.UA

We Lwowie uczczono ofiary katastrofy smoleńskiej

dokończenie ze strony 1

– Dlaczego polskie władze tolerowały to przez tyle lat? Było jasne, że to ręka Moskwy. Zginęła polska elita wraz z prezydentem Kaczyńskim. Nie rozumiem tej sytuacji nawet w świetle tego, co dzieje się teraz w Polsce. Bo nie można być lojalnym wobec Rosji. Oni chcą tylko wszystkich zniszczyć – powiedziała mieszkanka Lwowa.

Julia Myronenko przed wojną mieszkała w mieście Dnipro, teraz znalazła schronienie i pracę we Lwowie.

– Pamiętam, że miałam wtedy 15 lat i w prasie pojawiła się informacja o tej wielkiej tragedii dla Polski i współczuciu Ukrainy – wspomniała. – Pamiętam dokładnie, że rozmawialiśmy o tym w szkole i w naszych rodzinach. Wszyscy słyszeli o tej tragedii.

Przed tablicą spotkali się też Wiczesława Kucynda, emeryta ze Lwowa, który powiedział:

– Osobiście jako historyk pamiętam to wydarzenie i bardzo mi żal, że zginęło

tam tak wiele wybitnych osób. Putin musi za to odpowiedzieć. Dziwię się, że przez tyle lat jeszcze nikt nie odpowiedział za tę zbrodnię. Jest oczywiste, że była to wina Rosji – zaznaczył.

10 kwietnia 2010 roku, o godzinie 8:41 w pobliżu lotniska Smoleńsk-Północny rozbił się samolot specjalny Tu-154 M. Polska delegacja leciała nim na uroczystości upamiętniające 70. rocznicę mordu NKWD na polskich oficerach w Katyniu. Na pokładzie znajdowało się 96 osób, wśród nich prezydent RP Lech Kaczyński i jego małżonka Maria, ostatni prezydent na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski, wicemarszałkowie Sejmu i Senatu, grupa parlamentarzystów, dowódcy wszystkich rodzajów Sił Zbrojnych RP, szefowie instytucji państwowych, duchowni, przedstawiciele ministerstw, organizacji kombatanckich i społecznych oraz osoby towarzyszące, a także załoga samolotu.

Repertuar Opery Lwowskiej

INFORMACJE: TEL.: 0-0380 (32) 235-65-86, 0-0380 (32) 260-13-60, E-MAIL: LVIVOPERA@GMAIL.COM, WWW.OPERA.LVIV.UA W PROGRAMIE MOŻLIWE SĄ ZMIANY

19 kwietnia, piątek godz. 18:00	opera „TURANDOT” G. Puccini
20 kwietnia, sobota godz. 17:00	balet „DAREMNA OSTROŻNOŚĆ” P. Hertel
21 kwietnia, niedziela godz. 12:00 godz. 17:00	opera „NATAŁKA POŁTAWKA” M. Łysenko opera komiczna „NAPÓJ MIŁOSNY”, G. Donizetti
27 kwietnia, piątek godz. 18:00	balet „ESMERALDA” C. Pugni
27 kwietnia, sobota godz. 17:00	opera „DON GIOVANNI” (DON JUAN) W. A. Mozart
28 kwietnia, niedziela godz. 12:00 godz. 17:00	opera „SŁUŻĄCA PANIA” G. B. Pergolesi balet „GISELLE”, A. Adam

Stowarzyszenie Lekarzy Polskich zaprasza

Stowarzyszenie Lekarzy Polskich we Lwowie zaprasza wszystkich lekarzy oraz pracowników medycznych pochodzenia polskiego do członkostwa w naszej organizacji społecznej. Chętnych zostać członkami Stowarzyszenia prosimy o kontakt telefoniczny: +38 0982537845 – prezes Marzena Lewczuk.

Fundacja dra Mosinga zwraca się z prośbą o pomoc dla Antoniego Wiącka z Pnikuta

Antoni w maju ubiegłego roku trafił pod Bachmutem pod ostrzał artyleryjski, został ranny w obie nogi; przez 8 godzin z ogromnym bólem i strachem pokonywał dystans 1 km, by dotrzeć do miejsca ewakuacji. Okazało się, że 8 godzin to za długo i obie nogi trzeba było amputować. Marzeniem Antoniego jest powrót do życia, do samodzielności, do pracy. Jego kikuty są bardzo krótkie, co uniemożliwi skorzystanie z tradycyjnych protez, jednak istnieje nadzieja w operacji osseointegracji – wszczępienia implantów w kość, do których będzie można przymocować protezy. Koszt jednej protezy w Polsce – 177 tys. zł.

Jeśli ktoś chciałby wesprzeć tegoż Polaka, prosimy o wpłaty na konto fundacji – BNP Paribas 23 2030 0045 1110 0000 0222 0700 – z dopiskiem „Antoni”.

ANDRZEJ MICHALAK
FUNDACJA DR MOSINGA

Feliks patrzy we właściwą stronę

Po 24 lutego 2022 roku w Rosji zaczęły znikać polskie, litewskie oraz fińskie pomniki i upamiętnienia, zarówno te poświęcone żołnierzom, jak i ofiarom represji. Oficjalnie władze nie mają nic wspólnego z tym procederem, choć w niektórych przypadkach mowa jest o pracach renowacyjnych, wymuszających „czasowe” usunięcie tablicy czy monumentu. Zwykle jednak jako odpowiedzialnych wskazuje się wandalów, a sprawcy pozostają niewykryci, przede wszystkim dlatego, że nikt tych spraw nie zgłasza organom ścigania. Tak działo się między innymi w Irkucku, Jakucku, Pietrozawodsku, w obwodach permskim, tomskim, swierdłowskim, a w lipcu 2023 roku konsul generalny RP poinformował o „zaginięciu” pomnika represjonowanych Polaków w Petersburgu. Ten poświęcony żołnierzom fińskim w Primorsku został przynajmniej rozebrany decyzją sądu.

AGNIESZKA SAWICZ

Usprowadzeniem takich praktyk w oczach Rosjan jest przekonanie, że Polacy „zaczęli pierwszy” burząc pomniki czerwonoarmistów. Nie ma przy tym dla nich znaczenia, że to, co postrzegane jest jako wyzwolenie, w rozumieniu polskich obywateli było początkiem kolejnej okupacji, równało się utracie nie tylko części ziem, ale przede wszystkim niezależności. Nie wspomina się też o tym, że istnieje zasadnicza różnica pomiędzy pomnikami będącym symbolem, a takim, który stoi w miejscu pochówków. Tymczasem w wielu przypadkach w Rosji ucierpiały właśnie cmentarne tablice i nagrobki.

Najbardziej chyba znanym incydentem stało się usunięcie polskiej flagi z memoriału w Katyniu, o czym media doniosły

24 czerwca 2022 roku. Jako powód wskazywano „wrogie stanowisko” kraju wobec Federacji Rosyjskiej. Burmistrz Smoleńska Andriej Borysow na swoim profilu VKontakte napisał, że „Na rosyjskich pomnikach nie może być flagi Polski! Tym bardziej po jawnych antyrosyjskich wypowiedziach polskich polityków. Uważam, że Ministerstwo Kultury Federacji Rosyjskiej podjęło jedyną słuszną decyzję – usunąć flagę Polski. Katyn to rosyjski pomnik, to jest rosyjska historia”.

Z tym, że morderstwa dokonane na polskich oficerach są częścią historii Rosji, nie sposób polemizować, choć można zakładać, że nie o odpowiedzialność za tę zbrodnię chodziło Borysowowi. Tym bardziej, że 11 kwietnia 2024 roku FSB odtańczyła dokumenty dotyczące egzekucji Polaków przez nazistów i fałszowania „afery katyńskiej”.

Dokonano tego w ramach projektu „Bez przedawnienia” i jak podano, „Znaczącą część dokumentów stanowią protokoły przesłuchań Polaków, którzy służyli wraz z Niemcami w obwodzie smoleńskim”, co może sugerować współodpowiedzialność samych Polaków za kaźń oficerów. Według domniemych zeznań niejakiego Romana Kowalskiego „W opublikowanych wykazach rozstrzelanych polskich oficerów w Katyniu wielu członków naszego batalionu roboczego znalazło wśród nazwisk zamordowanych swoich znajomych, którzy zostali już wcześniej aresztowani przez gestapo i zesłani do obozów koncentracyjnych w Niemczech”. Inne zeznania mają potwierdzać, że sprawa była częścią niemieckiej propagandy i została sfingowana, a rosyjscy świadkowie przedstawieni. Podważono także wiarygodność ekspertów badających ciała polskich jeńców jeszcze podczas wojny, oskarżając ich o współpracę z faszystami.

Rosjanie przypomnieli też, że komisja Nikołaja Burdenki stwierdziła, że „polscy żołnierze zostali rozstrzelani w Katyniu jesienią 1941 r. przez niemieckie siły okupacyjne” i do 1990 roku było to oficjalne stanowisko ZSRR i państw Układu Warszawskiego. Co prawda jeszcze 26 listopada 2010 roku Duma Państwowa uznała, że „masowa eksterminacja obywateli polskich na terytorium ZSRR w czasie II wojny światowej była aktem arbitralności państwa totalitarnego, które poddało także represjom za przekonania polityczne i religijne setki tysięcy obywateli Związku Radzieckiego”, ale jesienią 2023 roku deputowany Nikołaj Iwanow zaproponował



POMNIK I OŁTARZ W KATYNIU

uchylenie tej uchwały, uznając ją za wyrażającą „poważną szkodę interesom i reputacji Rosji”. Jak możemy przypuszczać, obecnie rozpowszechniane informacje są częścią procesu, który ma doprowadzić do uznania przez Moskwę wyłącznej odpowiedzialności wrogich jej państw za morderstwo na polskich wojskowych. Być może obarczą nią nie tylko Niemców, ale i samych Polaków, tym bardziej, że Iwanow nie krył swoich motywacji. Mówił, że „W chwili obecnej, gdy Polska prowadzi politykę otwarcie wrogą wobec Rosji, uchwałę tę można uznać za przestarzałą, nieodpowiadającą współczesnym realiom politycznym, w obecnych warunkach straciła ona wszelkie znaczenie”.

Jakby tego było mało, polityk zaproponował usunięcie z rosyjskich podręczników historii dla szkół średnich informacji, że polscy żołnierze w Katyniu zostali rozstrzelani przez oddziały NKWD. Należy ją zastąpić tą: winni są niemieccy faszyci, co stwierdził Trybunał Norymberski. Kreatywność Iwanowa sięgnęła jeszcze dalej i jego zdaniem należy zmienić nazwę kompleksu pamięci katyńskiej na „Kozie Góry” i wstrzymać wydawanie zezwoleń na tworzenie polskich pomników na rosyjskiej ziemi.

Istnieje również grupa inicjatywna domagająca się rozbiórki polskiej części pomnika w Katyniu w związku z „wrogim zachowaniem współczesnej marionetkowej Polski, jej rusofobiczną polityką, publicznym poparciem dla nazistowskiej Ukrainy i dostawami broni, a także akceptacją przez polski rząd wszelkich działań skierowanych przeciwko Rosji”. Deputowany smoleńskiej rady obwodowej Andriej

Szaposznikow wyznał, że „od dzieciństwa był zniesmaczony” tym, „jak upokarzano” Rosję przed Polską w Katyniu. Oburzał się, że jego kraj wziął na siebie winę za przestępstwo, „którego nie popełnili”.

Co istotne, nawet, jeśli rosyjscy dziennikarze próbowali zachować pewną rzetelność podając wiadomość o tych pomysłach i dodawali, że w Katyniu zginęły tysiące polskich oficerów, to czasem zaniżali liczbę ofiar. Często też dodawali, że pochowano tam także obywateli radzieckich rozstrzelanych podczas represji politycznych oraz jeńców wojennych zabitych przez Niemców, rozmywając winę. Niemniej zanim zaczniemy ich krytykować przypomnijmy sobie, że w 2018 roku 2% Polaków wskazywało na niemiecką odpowiedzialność za tę zbrodnię. Istnieją przy tym uzasadnione obawy, że gdyby pytanie o to, kto był jej winien zadać nastolatkom, odsetek ten byłby znacznie większy. Uczniowie liceów wskazują, że w wielu przypadkach ich koleżanki i koledzy nie wiedzieli, że to sprawka ZSRR.

W każdym razie najprawdopodobniej w Rosji dorasta obecnie pokolenie, które nie będzie wiedziało, że jego przodkowie ponoszą bezpośrednią odpowiedzialność za ludzkie tragedie, morderstwa, represje. Będzie to także pokolenie wychowane we wtórnym kulcie Stalina, a przynajmniej aprobacie dla tej postaci. Dodajmy, także dla kilku innych, nie cieszących się szacunkiem na świecie.

Dla przykładu w Twerze, w miejscu, gdzie pochowano ponad sześć tysięcy rozstrzelanych polskich oficerów i żołnierzy oraz ofiar Wielkiego Terroru, wzniesiono popiersie Józefa Stalina. Prócz niego postawiono rzeźby Lenina, Kalinina, Dzierżyńskiego

i Swierdłowa. Wedle rosyjskiej logiki nie ma tym nic niestosownego. Ponieważ ludzie ci byli odpowiedzialni za zbrodnie, to wraz z grobami swoich ofiar tworzą świadectwo pewnej ery.

Ogółem w Rosji stoi 110 pomników Stalina, z czego 95 powstało za rządów Władimira Putina, szczególnie po rozpoczęciu okupacji Krymu. W latach 90. XX wieku postawiono zaledwie (albo aż) pięć takich monumentów. Czasem tłumaczy się takie decyzje instalacją artystyczną, czasem przypomina „zasługi” dyktatora. Zazwyczaj ma to być inicjatywa osób prywatnych lub organizacji, choć w rzeczywistości decyzje podejmują zwykle władze lokalne, biorące udział w uroczystościach odsłonięcia.

Zastanawiające, jak szybko Rosjanie zapomnieli o wyrokach śmierci, wszechobecnym strachu, represjach, zsyłkach. Interesujące też, jak wielką pracę wykonały służby specjalne przywracając pamięć o Dzierżyńskim. W Rosji jest ponad 40 jego pomników i popiersi, w tym w Symferopolu – według Yandex więcej, niż Gieorgija Żukowa i Karola Marksa. FSB zadbało o ich odsłonięcie, bo przecież „Żelazny Feliks wyciągnął kraj z biedy”.

Można go też wykorzystać do komunikowania Zachodowi swoich planów. Kopia pomnika Dzierżyńskiego z Łubianki, która od 2023 roku stoi na terenie siedziby Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej w Jasieniewie, patrzy na Polskę i kraje bałtyckie. Siergiej Naryszkin nie ukrywa, że spogląda w ich stronę dlatego, że stanowią zagrożenie dla Rosji.

Na uroczystościach odsłonięcia kolejnych monumentów nie brakuje przedstawicieli Cerkwi, jak w Wielkich Łukach w obwodzie pskowskim, ale i najmłodszych obywateli. Wydaje się to wręcz oczywiste, skoro w Krasnodarze pomnik założyciela Czeka stanął na dziedzińcu szkoły jego imienia. W Orłowie, w obwodzie kirowskim, statua Stalina znalazła swoje miejsce w parku dla dzieci.

Można taką lokalizację tłumaczyć tradycją, gdyż w tym samym miejscu wódz stał w czasach radzieckich, a można jednak przypuszczać, że najmłodsze pokolenie ma już od pierwszych lat życia oswojać się z wielkością dawnego przywódcy. Gdy dorosnie nie będzie widziało nic złego w tym, aby „staliny” zostały zastąpione przez rzeszę „putinów”, pokropionych przez kolejnych duchownych, a sfinansowanych przez matki tych, którzy dziś giną w Ukrainie.

Zmasowany atak raketowy na obwód lwowski oraz inne regiony Ukrainy

11 kwietnia Rosjanie przeprowadzili kolejny zmasowany ostrzał miast i regionów Ukrainy. Siłom ukraińskim udało się zestrzelić 57 spośród ponad 80 rosyjskich rakiet i dronów. Ataki skoncentrowały się na infrastrukturze krytycznej, co spowodowało szkody w obwodach: kijowskim, charkowskim, zaporoskim, odeskim i lwowskim.

Rosyjskie rakiety manewrujące zaatakowały dwa obiekty krytycznej infrastruktury energetycznej w obwodzie lwowskim. Informację tę przekazał Maksym Kozycki, przewodniczący Lwowskiej Obwodowej Administracji Wojskowej.

– Jest to obiekt infrastruktury dystrybucyjnej gazu w rejonie stryjskim i podstacja



elektryczna w rejonie czerwonogradzkim. Po ataku wybuchły pożary, jednak strażacy szybko je ugasili. Nie odnotowano żadnych ofiar ani rannych – poinformował szef władz obwodu lwowskiego.

Maksym Kozycki dodał, że tej nocy żołnierze Dowództwa Powietrznego „Zachód” oraz mobilne grupy ogniowe

zestrzeliły nad obwodem lwowskim 7 dronów wroga oraz 6 rakiet manewrujących. – Niestety, doszło także do trafień. Ogromne podziękowania dla naszych obrońców nieba za profesjonalizm, który wykazali w krytycznych warunkach. Dziękuję, że nie było ofiar – podsumował przewodniczący LOAW.

Rosjanie zniszczyli także Elektrownię Trypiłską w ostrzale raketowym – jedną z największych na Ukrainie i kluczową dla Kijowa. Elektrownia znajduje się 45 kilometrów od stolicy Ukrainy i jest głównym dostawcą prądu dla obwodów kijowskiego, czerkaskiego i żytomierskiego. Zniszczenia spowodowane rosyjskim ostrzałem są poważne, a pożar objął m.in. maszynownię elektrowni.

Od pewnego czasu ukraińskie władze apelują do państw zachodnich o dostarczenie dodatkowych systemów przeciwlotniczych, aby zabezpieczyć niebo przed rosyjskimi atakami.

– Każdy z naszych sąsiadów w Europie, każdy z naszych pozostałych partnerów, dostrzega jak istotne jest zapotrzebowanie Ukrainy na obronę powietrzną. Właśnie teraz, dzięki naszej zdolności do pokonania rosyjskiego terroru, świat może udowodnić, że wszyscy równie mocno potępimy

terrorizm jako zbrodnię. Jeśli Rosja będzie nadal prowadziła takie działania, jeśli rosyjskie rakiety i „szahedy” będą atakować nie tylko Ukrainę, ale także stronę jej partnerów, stanie się to globalną licencją na terrorizm. Potrzebujemy obrony powietrznej i innego wsparcia obronnego bez przyrmykania oczu i długich dyskusji – napisał prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski.

Od początku roku Rosjanie intensywnie przeprowadzają masowe naloty na ukraińskie obiekty energetyczne, wykorzystując rakietowe pociski dalekiego zasięgu, bomby lotnicze i drony. Choć głównym celem ataków jest infrastruktura energetyczna, rakiety i drony często trafiają również w budynki mieszkalne, powodując ofiary śmiertelne i osoby ranne.

ŹRÓDŁO: TELEGRAM, DOWÓDZTWO POWIETRZNYCH SIŁ ZBRONYCH UKRAINY; FACEBOOK, MAKSYM KOZYTSKY; FACEBOOK, VOLODYMYR ZELENSKY

Współczesny sprzęt chirurgiczny dla szpitala dziecięcego we Lwowie

Od początku pełnoskalowej wojny na Ukrainie, we Lwowie i obwodzie lwowskim nadal przebywa najwięcej uchodźców wewnętrznych. Lwów jest obecnie także największym miastem-szpitałem w kraju. Tutaj medycy ratują rannych i chorych, w tym wielu dzieci. Centrum Medycyny Dziecięcej Ochmatdyt, które znajdowało się w dawnym Szpitalu Ubezpieczalni Społecznej we Lwowie, jeszcze trzy lata temu obsługiwało małych pacjentów w obwodzie lwowskiego. Obecnie ratuje w nim dzieci z całej Ukrainy, przede wszystkim stosując metodę małoinwazyjnej chirurgii.

KONSTANTY CZAWAGA

Bogdan Malowany, dyrektor medycyny Centrum w wywiadzie dla Kuriera zaznaczył, że przed rozpoczęciem pełnoskalowej wojny Lwowski Obwodowy Dziecięcy Szpital Kliniczny mógł operować trzysta dzieci rocznie. Jednak dzięki nowoczesnemu sprzętowi medycznemu zakupionemu w ramach projektu Programu Współpracy Transgranicznej Polska-Białoruś-Ukraina, może operować nawet do dwóch tysięcy dzieci.

– Na początku wojny na pełną skalę zaczęto sprowadzać do nas wiele dzieci z

wschodniej Ukrainy – z Kijowa, z Mikołajowa, które poddaliśmy operacjom – mówił dalej Bogdan Malowany. – Jestem dumny, ponieważ po raz pierwszy w naszej klinice rozpoczęliśmy wykonywanie operacji laparoskopowych u noworodków. Operowaliśmy już wiele takich dzieci, a efekty są obiecujące.

Kolejny nowy sprzęt pokazał nam Ołeh Sodoma, szef oddziału chirurgii i endoskopii:

– Ten sprzęt jest jednym z najnowocześniejszych i najlepszych dostępnych na Ukrainie. Pozwala na wykonywanie zabiegów chirurgicznych w sposób minimalnie inwazyjny, dzięki małym nacięciom. Dzięki tym interwencjom laparoskopowym pacjenci szybko powracają do zdrowia, w przeciwieństwie do operacji otwartych, które wiążą się z większymi nacięciami i bliznami. Na przykład, dzieci po najbardziej banalnej operacji – zapaleniu wyrostka robaczkowego, wracają do zdrowia po otwartej operacji w ciągu sześciu do siedmiu dni, najwyżej po dziesięciu. Po laparoskopii drugiego lub trzeciego dnia mogą wrócić do domu.

Ratowanie zdrowia dziecka na czas to przede wszystkim radość dla jego rodziców.

– Nasze dziecko ma półtora roku – powiedziała Antonina Sawicka, matka chorego dziecka. – Trafiliśmy tutaj, ponieważ konieczne było przetaczanie błon bębenkowych ze względu na pogorszenie słuchu spowodowane częstymi zapaleniami ucha środkowego. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy miało ich aż cztery. Jestem pod wrażeniem nowoczesnego sprzętu



i zaangażowania lekarzy w ciągłe doskonalenie się. Bardzo cieszę się z rozwoju tego szpitala.

Projekt został zrealizowany we współpracy z Mazowieckim Szpitalem Specjalistycznym im. dra Józefa Psarskiego w Ostrołęce. Partnerzy otrzymali ponad półtora miliona euro ze środków unijnych na realizację tego przedsięwzięcia. Oprócz zakupu sprzętu medycznego, Lwowski Szpital Dziecięcy przeprowadził również modernizację sali operacyjnej i konferencyjnej.

Fedir Juroczko, kierownik Kliniki Laryngologii Dziecięcej w Centrum Medycyny Dziecięcej wyjaśnił:

– Podaliśmy taką aplikację i zgłosiło się bardzo wielu aplikantów chętnych do współpracy, ponad 235 chętnych do współpracy i pracy w ramach tego Programu. Weszliśmy do drugiego etapu i wygrałiśmy wśród 30 projektów. Dziękujemy Programowi Współpracy Transgranicznej przede

wszystkim za to, że mamy fantastycznych partnerów z Mazowieckiego Szpitala w Ostrołęce im. Józefa Psarskiego. To przepiękny szpital, ale przede wszystkim są w nim przepiękni ludzie, administracja, dyrektor szpitala. To jest chyba najważniejsze nasze osiągnięcie, że poznaliśmy dobrych ludzi, którzy nadal pomagają. I współczują, i piszą, i dzwonią, i od czasu do czasu spotykamy się, chociaż Program już dawno się skończył. Drugą cenną rzeczą jest to, że w ramach naszego projektu mieliśmy kilka konferencji, jeździliśmy do Ostrołęki. Ostrołęka przyjeżdżała do Lwowa i były wspiane spotkania i wspólne rzeczy, które pomogły nam nawiązać tak bardzo ścisłą współpracę. Mieliśmy też różne pomysły, które realizujemy. Jeszcze jedną stroną było to, że w ramach współpracy zakupiono różny sprzęt, który dziś wykorzystujemy.

Fedir Juroczko pokazał stare i nowe urządzenia medyczne.

– Jestem laryngologiem dziecięcym, w mojej klinice stoi mikroskop, który uważam za „mercedes” w świecie samochodów – zaznaczył Juroczko. – „Jeździmy” tym mikroskopem, pomagamy. Dzięki temu sprzętowi zrobiliśmy wiele różnych nowych zabiegów. Wprowadziliśmy nowe technologie, nowe metody leczenia chorób uszu, krtani. W zeszłym roku dzięki temu sprzętowi wstawiliśmy pierwsze implanty ślimakowe. Również dzięki temu, że mamy dobrą współpracę z klinikami z Polski, które mają bardzo wysoki poziom otolaryngologii i którzy przyjeżdżali nam pomagać w przeprowadzaniu różnych trudnych zabiegów. Wśród otrzymanego sprzętu mamy także bardzo dobrą wiertarkę do ucha i tzw. szejwery, które pomagają w leczeniu schorzeń nosa i zatok przynosowych. A przede wszystkim mamy takie krzesło, na którym chirurg może siedzieć cztery-pięć godzin i nie zmęczyć się. A przecież męczenie chirurga to jest rzecz niebezpieczna.

To dzięki temu Programowi podnieśliśmy poziom naszej wiedzy, naszych umiejętności, naszego doświadczenia na wyższy poziom, co zapewnia większe bezpieczeństwo dzieci w naszym szpitalu, lepsze warunki leczenia, lepsze wyniki.

Lwowski Obwodowy Dziecięcy Szpital Kliniczny Ochmatdyt jest najstarszym szpitalem dziecięcym na zachodniej Ukrainie. Lekarze specjalizujący się w ponad dwudziestu dziedzinach medycyny zapewniają całodobową, wielospecjalistyczną opiekę dzieciom z całej Ukrainy.

Lwów otrzymał swoją mapę kwitnących tulipanów i sakur

Lwowskie Biuro Turystyki wraz z Wydziałem Ekologii Lwowa opracowało „Kwiatową Mapę Lwowa”, na której odznaczone są miejsca, w których aktualnie kwitną kwiaty i drzewa. Ta interaktywna mapa jest dostępna pod linkiem. Będzie to dobra podpowiedź dla tych, którzy chcą podziwiać piękno kwitnących kwiatów i drzew we Lwowie, odkrywać nowe malownicze miejsca lub uchwycić moment wiosny robiąc zdjęcia.

Chcemy, aby oglądanie kwitnących kwiatów i drzew stało się dla mieszkańców i gości Lwowa dodatkową okazją do wypełnienia pozytywnej energią i emocjami. Mapa pomoże zbudować indywidualną trasę w kwitnącym Lwowie, a ponadto – odwiedzić mało znane miejsca i lepiej poznać miasto – tłumaczy Chrystyna Łebed, szefowa wydziału turystyki Lwowa.

Na interaktywnej „Kwiatowej mapie Lwowa” można znaleźć miejsca, w których kwitną tulipany, wiśnie, magnolie i grusze Chanticleer. Mapa prezentuje ponad 50



lokalizacji na terenie całego miasta, które będą na bieżąco aktualizowane, aby użytkownicy otrzymywali jak najbardziej aktualne informacje.

W ramach współpracy Iviv.travel z Urzędem Ekologii Lwowa ułożono turystyczną trasę z 10 lokalizacji, którą prezentowano przewodnikom wycieczek.

Przeprowadziłam wycieczkę dla lwowskich przewodników po kwitnących lokalizacjach naszego miasta. Na jednym tchu przeszliśmy około 7 km, otrzymaliśmy morze pozytywnej energii. Cieszę się, że coraz więcej osób zobaczy i usłyszy ciekawe historie

o tulipanach, magnoliach, niebiańskich jabłoniach, gruszach, kwiatach wiśni i migdałów!!! Niech będzie więcej piękna i pozytywności, to dodaje siły i wiary w nasze zwycięstwo – informowała Oksana Łutsko zastępca kierownika Urzędu Ekologii Lwowa.

Na przykład, tulipany „Foxtrot” w parku „na wałach” obok Wieży Prochowej już czekają na was.

Niedługo miasto ogłosi świetną ofertę na okres kwitnienia kwiatów i drzew we Lwowie. Czas ten obejmie Święto Miasta i Wielkanoc (wg kalendarza juliańskiego – red.) – od połowy kwietnia do połowy maja.



Będzie to lista wydarzeń połączonych elementem kwitnienia kwiatów – mapa kwiatów, plenery artystyczne, muzyka, jarmarki, menu kwiatowe w kawiarniach miasta, warsztaty florystyki, flashmob na temat układania kwitnących kompozycji.

W czasie wojny ludzie bardzo potrzebują jakoś kompensować wycieńczenie, emocjonalne wypalenie. Jeden ze sposobów to oglądanie piękna, pozytywne emocje, komunikacja z innymi. W taki właśnie sposób chcemy pomóc podnieść poziom

emocjonalny i napełnić dobrą energią lwowian i gości naszego Lwowa. Miasto i biznes łączą siły, by przygotować więcej takich miejsc dla mieszkańców i gości miasta – dodaje Chrystyna Łebed.

Zapraszamy do Lwowa, by podziwiać wiosenne kwitnące miasto.

ANDRZEJ KOŃKO

TEKST

LIVIV.TRAVEL, OKSANA LUTSKO,
CHRYSZYNA LEBED

ZDJĘCIA



Witryna literacka

Myśląc teraz o „Sonetach krymskich”

Dobrze, że nie wypłynę w ten przestwór nieszczęść oceanu i wóz mój nie zniknie nagle na pilnie strzeżonych tam drogach.

Pośród burzanów i chaszczy po byłych winnicach nie będzie tam błądzić długo



PORTRET A. MICKIEWICZA NA SKALE JUDZKIEJ,
RYS. WALENTY WAŃKOWICZ

w zadumie smętna myśl moja.
Nie stanę u szczytu, gdzie był Poeta,
by wesprzeć rękę na Judahu skale,
w turbanie obłoku, w cudach stworzenia.

Bo w dole bym ujrzał w dali widma
miast zniewolonych i spętanych wiosek.
Okręty blokujące wolne szlaki morza.
Wśród wycia wiatru, milczenia kamienia.

MARIUSZ OLBROMSKI
19.III.24

Gałązka kwietniowa



Gałązko świeża, uroczy kwiecie,
Całuję ciebie miłośnie,
Ogrzewasz serce w tym zimnym świecie
Radosną pieśnią o wiosnie.

W kwietniu początku cudem zrodzona,
Zielenią trwaj jak najdłużej,
Deszczyku ranną rosą zroszona,
Tyś siłą wśród życia burzy.

W tobie czar, urok, zapach zieleni,
Wiosny zakłęcie się chowa,
I rosy chmurka, i blask promieni,
Świeża gałązko kwietniowa.

STANISŁAWA NOWOSAD

Odeszła Helena Jacyno



JACEK BORZECKI

Z ogromnym żalem żegnamy wybitną artystkę Helenę Jacyno (1964–2024). Zmarła nagle, w wyniku nieszczęśliwego upadku. Zabrała ze sobą bogaty świat wyobraźni, niezrealizowane pomysły, a przede wszystkim niezwykłą energię twórczą.

Helena Jacyno urodziła się we Lwowie w 1964 roku, gdzie w 1980 roku ukończyła średnią Szkołę Polską. W latach 1980–1984 kontynuowała naukę we Lwowskim Kolegium Sztuk Pięknych i Dekoracyjnych im. Iwana Trusza na Wydziale Malarstwa Monumentalnego, a w latach 1988–1995 na Akademii Sztuk Pięknych we Lwowie na Wydziale Ceramiki Artystycznej, uzyskując dyplom tejże uczelni w 1995 roku. Po osiedleniu się w Polsce w latach 2010–2012 pogłębiała swoją wiedzę na Środowiskowych Studiach Doktoranckich w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Wielokrotna uczestniczka miechowskich plenerów napisała w 2010 roku: „Plener jest możliwością spotkania się z niepowtarzalnym miejscem wejścia w świat innych artystów. Pobyt wśród nich, a szczególnie wśród ich prac, weryfikuje nasze dążenia twórcze. Stawia nasze malarstwo wobec mnogości światów malarskich. Taki sprawdzian przynosi refleksje, jest napędem do dalszej pracy.

Plener to też ludzie organizujący go, budujących atmosferę pleneru. Oryginalny „język plenerowy” przypomina zejście Ducha Świętego na Apostołów. Mieszanka języków – polskiego, włoskiego, angielskiego, rosyjskiego, niemieckiego, ukraińskiego, słowackiego służy porozumieniu ogólnemu i napawa wesołością.

Lubię też samotnie włóczyć się miastem, patrzeć na bezkresne niebo i wieżę kościoła, wieżę Bazyliki królującej nad Miechowem. Kolejny powrót do zaczerpniętej czasoprzestrzeni krążanków. Nauka ciszy i światła. Plener – przystanek i doświadczenie na własnej drodze twórczej”.

W 2010 roku gościła w galerii BWA „U Jaksy” ze swoją wystawą indywidualną. Krakowski krytyk sztuki Witold Turdza napisał na tę okoliczność esej o jej twórczości (fragment): „Obrazy Heleny Jacyno ukazują ją jako artystkę poszukującą nowych form wyrazu, ale – paradoksalnie – od razu w tych formach zdomowioną, jakby one nie miały dla niej tajemnic. Owo poszukiwanie wynika zapewne z chęci doświadczenia w sztuce wszystkiego czego można doświadczyć, żeby wzbogacić swój artystyczny warsztat, żeby doznać olśnienia i móc je podzielić z widzem. A warsztat ma znakomity. Podziwu godne jest posługiwanie się kreską, zarówno w rysunku jak i w malowaniu (żeby nie pominąć wycinanki). Jako że obrazy skonstruowane są z kresek, które płaczą się w kłębki, rozwijają, zasypują lub rozsypują, zbijają w zwarte figury geometryczne albo przeciwnie, rozsnuwają w delikatne, pajęczne struktury, kłębią się jak ruchliwe robaczki lub zarysowują ostro jak ślad cięcia zdecydowanym gestem. Jedne kreski są wynikiem zamasztywego gestu, inne zaś – precyzyjnego prowadzenia ręki. Jedne tworzą plamy, inne rozsnuwają się w subtelne siatki. Pracowicie zagęszczane lub niedbale bazygrane. Wszystkie zaś budują obraz, tworząc drobne formy, między którymi powstaje napięcie, dynamika, skryta pod powłoką owych pozornie tylko formalnych rozwiązań”.

ŹRÓDŁO: FACEBOOK, BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH „U JAKSY”

Helenka – artystka „ze Lwowa” – szkic z pamięci Helena Jacyno-Piaskowska (Lwów 1964 – Przemyśl 2024)

Moje wspomnienie nie jest nekrologiem. Nie będę analizować twórczości Helenki, chociaż była osobowością i malarką niebanalną. Myślę, że podobnie jak w przypadku wielu innych twórców – zostanie ona po swoim odejściu z tego świata bardziej doceniona. Nie podejmę także próby opisanie Jej życia, podzielę się jednak okruciami wspomnień o Osobie, której obecność trwa nadal w moim sercu i świadomości.

URSZULA OLBROMSKA

Helena poznałam ćwierć wieku temu we Lwowie, na wernisżu wystawy rysunków Krzysia Grzegockiej. W swoim wystąpieniu na temat prac autorki wyraziłam żal, że jest to jedyna polska profesjonalna malarka w tym mieście. Wtedy usłyszałam pytanie: „A ja to co?”. I tak się zaczęła nasza bliskość, bo z Heleną nie mogło być inaczej – ona nie znała pojęcia „dystans”. Bo nie było jej potrzebne.

Wkrótce Helena zamieszkała w Przemyślu. Miała już wówczas w swym dorobku wiele wystaw, zarówno indywidualnych jak i zbiorowych, we Lwowie i w Polsce. Uprawiała ceramikę, malarstwo sztalugowe, batik i grafikę. Szczególnie zainteresowała ją wówczas wycinanka artystyczna i malarstwo na szkle. Jej wycinanki zachwyciły w 2004 roku publiczność w Gersheim w Saarlandzie w 2004 roku, gdzie Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej zorganizowało Jej wystawę w ramach Festiwalu „An der Grenze/Na granicy”. Natomiast malarstwo na szkle stało się przedmiotem Jej pracy doktorskiej, którą obroniła w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

W 2006 roku pojechała na plener malarski do Krzemieńca, który towarzyszył „Dialogowi Dwóch Kultur”. Przed napisaniem niniejszego tekstu przeglądałam zdjęcia z tego pobytu – na zaledwie kilku odnalazłam Jej wizerunek. Nie dlatego, że nie lubiła się fotografować, tylko bardzo ceniła sobie czas: wstawiała skoro świt i wykorzystywała każdą chwilę do zmroku na malowanie. Jednym z Jej ulubionych miejsc była Góra Bony, skąd rozciąga się rozległa panorama miasta. Lubiła kontemplerować przyrodę w samotności i przenosić swoje wrażenia na płótno, ale nie zawsze było Jej to dane: jako do dobrego człowieka garnęły się do Niej wszystkie zwierzęta. Na jej obrazach znalazły się więc wśród ruin królewskiego zamku zwykłe kundelki i figlarne kózki. Szczególnie jednak zachwyciły nas odważne w kolorystyce obrazy Heleny, przedstawiające architekturę. Podczas sesji malarskiej w Ławrze Poczajowskiej



ZE ZBIORÓW AUTORKI

HELENKA MALUJE NA GÓRZE BONY W KRZEMIĘNCU, SIERPIEŃ 2006

nasi plenerowicze wzbudzali zainteresowanie licznych pielgrzymów. Jednak to przy Helenie wkrótce zgromadziły się tłumy gapiów: dzieci, dorosłych, duchownych. Jej to nie przeszkadzało, malowała i malowała, jakby ich nie było...

Helena kochała plenery, na które z trudem znajdowała czas o różnych porach roku, wśród obowiązków zawodowych i rodzinnych. Z tych pobytów organizowano jej wystawy w wielu ośrodkach w Polsce i zagranicą. Fascynację przyrodą przekazywała także swoim podopiecznym z miejsca pracy – Przemyskiego Centrum Kulturalnego.

Mieszkając w Przemyślu podtrzymywała swe lwowskie przyjaźnie. Współpracowała z Polskim Teatrem Ludowym we Lwowie, dla którego wykonywała scenografie. Dla Wydawnictwa Kuriera Galicyjskiego wykonała projekty okładek do I i II części „Kresowej bałagutki”.

Była osobą nietuzinkową. Będzie nam brakowało Jej barwnej, oryginalnej mowy, pełnej indywidualnych form językowych, trochę zaskakujących, trochę humorystycznych – rodem ze Lwowa. Posługiwała się nią na co dzień. Dzięki niej, a przede wszystkim swoistemu podejściu do spraw życiowych, potrafiła podtrzymać na duchu, nie użalając się, a dodając otuchy. Nigdy nie mówiła źle o ludziach, w każdym znajdowała dobre cechy i z nich budowała obraz drugiego człowieka. Osoby szczególnie według Niej godne uznania potrafiła obdarować przyjaźnią i częstokroć wspomagać w sposób szczególnie dyskretny i godny.

Była artystką w każdym calu – przejawiała się to zarówno w Jej stylu życia jak też codziennym zachowaniu. Piękna Helena, z burzą czarnych wijących się włosów okalających twarz i brązowymi jak kasztany

oczami, swym przejściem przez ulicę w długich powiewnych szatach – niekoniecznie najmłodniejszych – zapierała dech.

Miała też swoje marzenia związane z uznaniem Jej dorobku artystycznego. Niestety, nie zawsze się one ziszczały, mimo że na ich realizację poświęcała tyle energii. W środowisku polskich malarzy osoby z akademickim wykształceniem ukraińskim – a Helena ukończyła Lwowską Akademię Sztuk Pięknych – były traktowane inaczej. Próbowano zmienić tę sytuację, dlatego też zrobiła w Polsce doktorat, mając nadzieję na zmianę swego statusu artystycznego. Jednak ani wykształcenie, ani wielość Jej dokonań twórczych nie przyniosły znaczących zmian w Jej życiu zawodowym i sytuacji życiowej. A tak bardzo tego oczekiwała...

Odeszła w pełni sił twórczych, pełna pomysłów i planów artystycznych na przyszłość. Przygotowała między innymi cykl ilustracji do bajek dla dzieci, wykonała część polichromii ściennej (portrety osób związanych z Przemyślem) na zewnętrznej ścianie budynku Przemyskiego Centrum Kulturalnego od strony ul. Dworskiego.

Helena zapadła w sen w Wielki Piątek i odeszła do nowego życia w Niedzielę Miłosierdzia Bożego. W pełnym rozkwicie wiosennej przyrody...

Nie znam Osoby, która bardziej niż Helena uosabiałaby sobą Malarstwo. W ciągłym biegu, chwytaniu każdej chwili, by ją przeżyć, artystycznie przetworzyć i utrwalić. Stąd w Jej obrazach znajdują wszystkie odcienie życia, tego rzeczywistego i tego, którego oczekujemy... Do którego uniosły Cię, Helenko, skrzydła malowanych przez Ciebie i tak hojnie podarowanych przyjacielom aniołów...

Helena Jacyno – „kolorowy koliber” 1964 – 2024



HELENA JACYNO, AUTOPIKRET

Odleciała tak nagle, że nie zdążyliśmy się opamiętać. Jeszcze darowała nam kilka

dni życia pełne planów i zamierzeń twórczych, z których najważniejsze to

były projekty nasze wspólne – teatralne.

I nagle pustka! Kolorowe pióra Jej malarstwa, niepohamowanej fantazji, rozlatują się na wszystkie strony. Pozostają jednak utrwalone w kolorach i formie. Niezwykła energia i wielka uczynność Heleny zjednała Jej serca wielkiego grona przyjaciół.

Pamięć o Tobie, Heleno, będziemy odnajdywać w Twoich dziełach, w tym także w szczątkach Twoich dekoracji, kostiumów, rekwizytów i tego wszystkiego co tworzy teatr.

Przemknęłaś tak szybko przez nasze i Twoje kochane miasto, że tak bardzo chciałoby się Ciebie zatrzymać w nim jeszcze choć na chwilę – kochany Kolorowy Koliber! Niestety, koleje losu są nieubłagane.

ZBIGNIEW CHRZANOWSKI

Nowy sezon wspólnych polsko-ukraińskich prac konserwatorskich. Rok 2024

Wiosna we Lwowie rozpoczęła się na dobre. Na ulicach i w parkach kwitną japońskie sakury, również tysiące holenderskich tulipanów. Pięknie wygląda lwowska starówka... Jest to też najwyższa pora, by zacząć kolejny sezon prac konserwatorskich. Na terenie Lwowa już od lat na wielką skalę są prowadzone wspólne polsko-ukraińskie prace konserwatorskie na wielu obiektach, ratując zabytki wspólnego dziedzictwa kulturalnego i artystycznego. Jednym z najważniejszych obiektów tych prac jest monumentalna, barokowa XVII-wieczna świątynia ojców jezuitów pod wezwaniem świętych Apostołów Piotra i Pawła (obecnie cerkiew garnizonowa UGKC). Od 2012 roku prowadzono tu kompleksowe prace konserwatorskie. Dzięki ingerencji konserwatorów uratowano (często już w ostatniej chwili) bezcenne dzieła sztuki, zwłaszcza XVIII-wieczną polichromię Franciszka i Sebastiana Ecksteinów, która znajdowała się przed 2012 rokiem w stanie daleko posuniętego zniszczenia i zaniedbania.

JURIJ SMIRNOW
TEKST
ALEKSANDER KUŚNIERZ
ZDJĘCIA

W ciągu lat wykonano bardzo wiele wspólnych prac, ale też przed konserwatorami nadal są ogromne wyzwania i ogromne plany twórcze. W tych dniach pierwsza we Lwowie w roku bieżącym komisja konserwatorska zebrała się, by omówić plany na nowy sezon konserwatorski 2024 roku. Zorganizowała ją warszawski Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą „Polonika”. Prace konserwatorskie w świątyni pojezuickiej finansuje polskie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego (MKiDN) i garnizonowa parafia UGKC, zaś Instytut „Polonika” patronuje pracom konserwatorskim od strony merytorycznej. Ze strony ukraińskiej polsko-ukraiński zespół konserwatorów współpracuje ze lwowskim miejskim Zarządem Ochrony Środowiska Historycznego i z katedrą restauracji Lwowskiej Akademii Sztuki.

Duszą całego przedsięwzięcia, kierownikiem prac konserwatorskich i organizatorem polsko-ukraińskiego zespołu młodych konserwatorów



PAWEŁ BOLIŃSKI

(wszyscy członkowie zespołu to absolwenci wymienionych uczelni) jest dr Paweł Boliński, profesor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki. Po głośnych sukcesach związanych z konserwacją polichromii Ecksteinów w nawie głównej, zespół konserwatorów od 2023 roku skupił się na gruntownym odnowieniu monumentalnego ołtarza głównego i polichromii w prezbiterium.

Profesor Paweł Boliński zauważył, że prace te będą etapowane, rozłożone nie na jeden rok.

– Przy konserwacji struktury ołtarza głównego jest kilka bardzo ważnych problemów. Mianowicie obok ołtarza w prezbiterium są partie fresków, które też trzeba poddać konserwacji. Technologicznie jest wskazane, żeby obydwie prace prowadzić równolegle, czyli konserwację struktury ołtarza i snycerki trzeba prowadzić w tym samym czasie, co

konserwację polichromii. Malowidła nawet trzeba skończyć wcześniej i wtedy przystąpić do montażu odnowionych elementów snycerki. W ołtarzu głównym już w 2023 roku zostały zdemonstrowane wszystkie elementy snycerki, wszystkie rzeźby, wszystko co dało się ze struktury ołtarzowej zdjąć, cztery monumentalne figury świętych jezuitów. Jest tych detali na pewno ponad 500. Są to wszystkie elementy drewniane i złoczone. Tu występuje kolejny problem technologiczny. Mianowicie, trzeba je utrzymywać przez wszystkie lata prac konserwatorskich w tych warunkach, jakie były w świątyni przez ostatnie 300 lat, żeby klimat nie zaczął działać negatywnie. Dlatego właśnie zaaranżowaliśmy pracownię konserwatorską tuż w kościele na emporach, obok ołtarza głównego. Robimy to w pełnej zgodzie i wielkim poparciem



z księdzem proboszczem Tarasem Michalcukiem. W toku prac stale odczuwamy jego pomoc i życzliwość. Mamy fantastyczny przykład współpracy polsko-ukraińskiej.

Następnie prof. Paweł Boliński powiedział, że przedstawił komisji metodę i technologię dalszych prac konserwatorskich, również wyniki przeprowadzonych badań stanu polichromii w prezbiterium, m.in. stanu zachowania nie tylko warstwy malarskiej, lecz też tynków i przeprowadzonych odkrywek i sondaży. Pozwoliło to określić w jakiej kondycji zachowały się pod przemalowaniami oryginalne warstwy malarskie pędzla Sebastiana Ecksteina i jakimi metodami trzeba pracować, aby w żadnym stopniu nie uszkodzić oryginału. Sebastian Eckstein kontynuował prace swego ojca Franciszka Ecksteina, miał jednak własną oryginalną manierę malarską. Chcemy Sebastiana Ecksteina „dokopać”, żeby świątynia miała swój całkowicie oryginalny charakter, który z znacznym mierzem był zatarty późniejszymi przemalowaniami i co jest bardziej tragiczne, zniszczeniami za czasów sowieckich. Jesteśmy świadomi, że mamy do czynienia z pięknymi XVIII-wiecznymi malowidłami i że świątynia ma odzyskać kompleksowy wygląd barokowy, który jej został nadany w XVIII wieku.

Według profesora Andrzeja Betleja, dyrektora krakowskiego Muzeum Zamku Królewskiego na Wawelu, zdobienie kościoła świętych Piotra i Pawła ma charakter ekskluzywny, zaś twórczość tych morawskich artystów malarzy z Brna, absolwentów rzymskiej Akademii św. Łukasza, demonstruje we Lwowie wysoką klasę europejskiej sztuki barokowej tego okresu. Profesor Andrzej Betlej tak charakteryzuje poziom malowideł w kościele pojezuickim we Lwowie:

– Świątynia ozdobiona malowidłami iluzjonistycznymi w technice al fresco, wykonanymi w latach 1738–1740 przez malarza Franciszka Ecksteina

z Brna i kontynuowane po jego śmierci przez syna Sebastiana Ecksteina w latach 1740–1742. Na ścianach bocznych przy ołtarzu głównym medaliony z przedstawieniami męczenników japońskich (od południa) i koszyckich (od północy), podtrzymane przez aniołki malowane monochromatycznie. Powyżej, w polach o złożonym wykroju, podtrzymanych przez malowane monochromatyczne postacie alegoryczne, św. Ignacy Loyola i św. Franciszek Ksawery.

Lwowianka Lesia Hanulak jest pracownikiem katedry konserwacji Lwowskiej Akademii Sztuki i już od lat współpracuje z profesorem Pawłem Bolińskim, nie tylko przy odnowieniu świątyni pojezuickiej, lecz także na innych obiektach we Lwowie i na Ziemi Lwowskiej. Podkreśliła, że znaczna część elementów ołtarza głównego znajdowała się w złym stanie, była kilku razy przegruntowana i przemalowana, w dolnych partiach znacznie więcej niż w górnych. Renowację jednak spowodowały, że zmieniła się plastyka w szczegółach rzeźb, czy samej snycerki, zmieniając nieco ich charakter. W wyniku prac konserwatorskich przywracamy wygląd pierwotny, oczyszczamy wtórne grunty, dzięki czemu delikatny charakter detalu jest znów czytelny. Pierwotny program złoczeń ołtarza był naprawdę bardzo piękny i efektowny.

Przedstawicielka warszawskiego Narodowego Instytutu Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą „Polonika” Monika Garnavault podkreśliła, że jest to pierwsza w 2024 roku komisja konserwatorska we Lwowie i że właśnie od tego momentu startują prace konserwatorskie w nowym sezonie. Komisja w całości zaakceptowała metody, plany i technologię zaproponowane przez profesora Pawła Bolińskiego.

Proboszcz świątyni garnizonowej ks. Taras Michalczuk wyraził zadowolenie z wieloletniej, bardzo serdecznej współpracy z zespołem konserwatorów i osobiście z profesorem Pawłem Bolińskim. W naszych bardzo trudnych czasach przed duchowieństwem stanęły wielkie wyzwania. Świątynia garnizonowa we Lwowie odgrywa rolę szczególną. Codziennie modlimy się w tych murach za tych, którzy walczą z okupantem, ze złem na froncie. Tu, w tej świątyni żegnamy też naszych żołnierzy, którzy polegali na froncie za Ojczyznę, za Ukrainę. W świątyni ludzie czują się jak w domu – sprzyja temu także odrodzone piękno jej zdobienia artystycznego. Dziękujemy wszystkim, którzy dołączyli się do tych prac konserwatorskich, dziękujemy naszym przyjaciołom z Polski, z Instytutu „Polonika”.

Nie żyje Stanisław Panteluk

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o odejściu Stanisława Panteluka, twórcy i wieloletniego redaktora naczelnego „Dziennika Kijowskiego”, tłumacza, działacza na rzecz polskiej społeczności w Ukrainie. Żegnamy legendę polskiego dziennikarstwa w Ukrainie.

W ciągu wielu lat pozostawał wzorem dziennikarskiego profesjonalizmu, mistrzem słowa. Był człowiekiem ogromnej wiedzy, kultury osobistej oraz wzorem życzliwości.

Stanisław Panteluk urodził się w 1945 roku w Kazachskiej SRR, na terenie ówczesnego obwodu semipałatyńskiego. Jego rodzice

zostali tam wywiezieni przez Sowietów z Kosowa Huculskiego. W Kijowie zamieszkał w 1971 roku. Był zaangażowany w działalność polskiej społeczności, zasiadał m.in. w Zarządzie Związku Polaków na Ukrainie.

Dziennik Kijowski jest wydawany od ponad 30 lat. Stanisław Panteluk podkreślał, że to „kronika życia Polaków w Ukrainie”. W marcu Stanisław Panteluk otrzymał z rąk ambasadora RP w Kijowie Jarosława Guzega Złoty Krzyż Zasługi za długoletnią pracę społeczną i ofiarną działalność publiczną.

W imieniu redakcji „Nowego Kuriera Galicyjskiego” składamy najgłębsze wyrazy współczucia Rodzinie i bliskim.

Duże zmiany w pomocy dla uchodźców z Ukrainy

Rząd Polski planuje wprowadzić zmiany w ustawie dotyczącej pomocy dla obywateli Ukrainy, którzy uciekli do kraju z powodu konfliktu zbrojnego na ich terytorium. W piątek MSWiA przedstawi projekt nowelizacji ustawy.

Prof. Maciej Duszczuk, wiceminister spraw wewnętrznych, odpowiedzialny za politykę migracyjną, zapowiedział te zmiany podczas konferencji dotyczącej sytuacji mieszkaniowej uchodźców z Ukrainy, organizowanej przez Fundację Leny Grochowskiej.

Głównym celem zmian jest uszczelnienie systemu pomocy i likwidacja nadużyć. Zmiany dotyczą finansowania pobytu Ukraińców. Rząd planuje zawiesić artykuł 13 specustawy, który dotyczy finansowania wyżywienia i zakwaterowania Ukraińców w małych, prywatnych ośrodkach. Pobyt Ukraińców będzie finansowany wyłącznie w miejscach, które mają umowy z wojewodą, a więc są pod kontrolą państwa.

Rząd rozważa również wprowadzenie częściowej odpłatności ze świadczeń

społecznych dla osób, których wyżywienie i zakwaterowanie finansuje państwo. Duszczuk zwrócił uwagę na problem nierówności w dostępie do pomocy między obywatelami Ukrainy a obywatelami Polski.

Inną kluczową zmianą jest plan wprowadzenia od przyszłego roku pobytu czasowego dla uchodźców z Ukrainy. Obecnie, specustawa automatycznie obejmuje wszystkich, którzy posiadają PESEL UKR, ochroną tymczasową. Nowy system będzie wymagał od obywateli Ukrainy wypełnienia specjalnego wniosku i poddania się procedurze sprawdzającej przez ABW, Straż Graniczną i policję.

Zmiany w ustawie wywołały kontrowersje wśród organizacji pozarządowych, które prowadzą ośrodki dla uchodźców. Fundacja Leny Grochowskiej, która prowadzi pięć domów uchodźczych, obawia się, że nowe rozwiązanie pozbawi wsparcia tylko w samej fundacji około 300 osób – niepełnosprawnych, starszych, chorych.

Duszczuk zapewnił, że projekt ustawy będzie konsultowany ze stroną społeczną.

RZECZPOSPOLITA

Na razie nie widać koncentracji rosyjskich wojsk

Dowódca Państwowej Służby Przygranicznej odniósł się do doniesień o rosyjskich planach ofensywy. Według ocen strony ukraińskiej, na granicy z Federacją Rosyjską jak na razie nie widać koncentracji rosyjskich jednostek, jaka mogłaby wskazywać na możliwą ofensywę. Mimo tego trwa rozbudowa umocnień zarówno wzdłuż linii granicznej z Federacją Rosyjską jak i z Białorusią, o czym poinformował po wizycie na pozycjach jednostek Służby Granicznej jej dowódca, generał Serhij Dejenko, który odwiedził rejon Charkowa oraz obwód wołyński.

Sytuacja pozostaje trudna zwłaszcza w Charkowie, który jest stale ostrzeliwany przez siły rosyjskie. „Robimy wszystko, aby wzmocnić obronę Charkowa, który co noc jest ostrzeliwany” – powiedział prezydent Ukrainy Wołodymyr Zelenski, apelując po raz kolejny do krajów sojuszniczych o dostawy systemów obrony przeciwlotniczej i dziękując tym państwom, które już udzieliły Ukrainie takiej pomocy. Jak wynika z ocen strony ukraińskiej, do pełnego zabezpieczenia swojej przestrzeni powietrznej, Ukraina potrzebuje ok. 25 baterii systemu Patriot lub podobnych (jak na razie otrzymała ok. 10-12 systemów Patriot i SAMP/T).

Ukraińskie systemy obrony przeciwlotniczej są stałym celem rosyjskich ataków. Do działań, zarówno przeciwko infrastrukturze jak i systemom obrony przeciwlotniczej, strona rosyjska używa zarówno własnych pocisków jak i tych pochodzących z dostaw z Korei Północnej. Zniszczenie infrastruktury i OPL pozostaje głównym celem rosyjskich działań.

POLUKR.NET

In memoriam

Zaskoczyłeś mnie, Przyjacielu, zaskoczyłeś nas wszystkich. Czyż nie będzie już Twojej pogody ducha, uśmiechu?

Wiadomość o Twoim odejściu zabolęła, ale pozostanie pamięć. Poznałem Staszka Panteluka w roku 1968, gdy przyjechał do Wilna z Ukrainy na studia polonistyczne. Studiował chyba dwa lata, ponieważ przeszedł na studia zaoczne, jednocześnie pracując w Biurze Turystycznym „Intourist”, z którym jak i wielu moich kolegów, współpracowałem od czasu do czasu dorywczo. Spotykaliśmy się na trasach turystycznych, zawsze ciesząc się ze spotkań. Potem zostaliśmy redaktorami, Staszek prowadził „Dziennik Kijowski”, którego redakcję miałem okazję odwiedzić. Spotykaliśmy się też na gremiach dziennikarskich w Polsce.



Jak i w latach naszej młodości, w latach studiów, Staszek kochał muzykę, nieodłączną z Nim była jego gitara, nie opuszczało Go poczucie humoru...

Wiele mam wspomnień o Stanisławie Panteluku i do nich powrócę na łamach

„Znad Wili”. Teraz pochylam głowę w wielkim smutku, składam kondolencje Jego bliskim. Jakże będzie Go nam brakowało! Żegnaj, Staszku!

ROMUALD MIECZKOWSKI

Załączam zdjęcia mojego autorstwa z lat 1968-1969. Na pierwszym – Staszek ze swą gitarą, chyba podczas wyprawy do Trok; na następnych – wycieczka w towarzystwie naszych koleżanek z roku Krystyny Kurzównej, Krystyny Zareckiej i Krystyny Jacewicz (podaję nazwiska panięskie); na innym zdjęciu Staszek z Bożeną Rafalską w Wilnie, późniejszą redaktorką „Gazety Lwowskiej” – jakże wspinała była ta nasza paczka! Ostatnie zdjęcie wykonałem w Warszawie 21 września 2023 roku, podczas spotkania redaktorów, zrzeszonych w Federacji Polskich Mediów na Wschodzie. To było ostatnie zdjęcie, jakie Mu zrobiłem.



Objawienie świętego Józefa w Borystawiu

W dniu 29 lutego 2024 roku, jako sympatycy kultury chrześcijańskiej, po raz kolejny spotkaliśmy się w domu księży i braci paulistów we Lwowie. W dalszym ciągu kontynuowaliśmy temat osobistego nawrócenia. Tym razem przyglądaliśmy się postaci Roberta, jednego z bohaterów filmu pt. „Opiekun”, który stanął przed bardzo ważną decyzją życiową. Z pomocą przyszedł mu Święty Józef, pomagając „posklejać rozbitą wazon” życia rodzinnego. Historia Roberta wydarzyła się naprawdę i została opisana w księdze cudów i łask Sanktuarium Świętego Józefa w Kaliszu, w Polsce.

Jak się dowiedzieliśmy na spotkaniu z br. Adamem Szczygłem SSP, niezwykłych zdarzeń utrwalonych we wspomnianej księdze znajduje się bardzo wiele. Spisywane były od XVII wieku, a jedno z nich, zupełnie nadzwyczajne, dotyczy Borystawia w obwodzie lwowskim.

Otóż w 1930 roku mieszkał tam pewien lekarz, który choć ochrzczony, to jednak utracił wiarę i deklarował się jako niewierzący. Gdy umierała jego mama, przekazała mu obraz ze Świętą Rodziną i prosiła, aby odmawiał modlitwę do świętego Józefa o dobrą śmierć. Ponieważ złożył obietnicę, to mimo swoich odmiennych poglądów starał się



OBRAZ ŚWIĘTEJ RODZINY Z SANKTUARIUM ŚWIĘTEGO JÓZEFA W KALISZU

dotrzymać słowa. Jak się okazało, święty nie pozostawił go w potrzebie. Gdy umierał, patron dobrej śmierci przyprowadził mu kapłana. Całe to zdarzenie było niesamowite. Święty Józef późno w nocy objawił się na plebani w Borystawiu ks. Adamowi Sikorze i trzykrotnie wzywał go, aby poszedł do umierającego człowieka mieszkającego przy

ul. Sobieskiego. Kapłan nieufny wobec tego, czego był świadkiem, zwlekał z podjęciem decyzji. Po trzeciej prośbie tajemniczy mężczyzna zwyczajnie wyrzucił go z łóżka i nakazał wypełnić posługę. Gdy młody ksiądz przybył do umierającego lekarza i zobaczył tam obraz Świętej Rodziny, natychmiast dostrzegł, że mężczyzna, który mu się objawił wyglądał identycznie jak na tym wizerunku. Swoim odkryciem podzielił się z chorym, a ten zdumiony nie zwlekał już z przystąpieniem do sakramentów świętych. Jak się później okazało, jeszcze tej samej nocy lekarz opuścił ten świat. Ta zdumiewająca historia jest nieco szerzej opisana na portalu internetowym Sanktuarium Świętego Józefa w Kaliszu (<https://www.swietyjosef.kalisz.pl/Swiadectwa/13.html>).

Po zapoznaniu się z różnymi niezwykłymi zdarzeniami, do których przyczynił się św. Józef, przychodzi na myśl różne pytania. Ile takich nadzwyczajnych historii kryją nasze sanktuaria na terenie Ukrainy? Czy zachowały się księgi cudów i łask, które były tam prowadzone? Z iloma niezwykłymi zdarzeniami i nawróceniami mamy do czynienia teraz wśród żołnierzy walczących na froncie? Ile z tych historii mogłoby posłużyć do nakręcenia niejednego filmu fabularnego? Jak mogłoby się zmienić życie wielu ludzi, gdyby te niezwykle wydarzenia ukazać w mediach? Podobnych pytań można snuć jeszcze więcej.

Jak zwykle podczas naszych spotkań u ks. paulistów czas szybko mijał. Prędko też zniknęły ze stołu pięknie i smacznie przyrządzone kanapki, nad którymi zawsze czuwają nasze pracowite wolontariuszki. Pociśamy się jednak myślą, że wkrótce spotkamy się znowu.

MARIA BARANOWA



Dziedzictwo wyższej uczelni weterynaryjnej we Lwowie

W tym roku przypada 240-lecie otwarcia (1784) Katedry Weterynarii na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Lwowskiego oraz 140. rocznica powstania Cesarsko-Królewskiej Szkoły Weterynaryjnej we Lwowie. Nazywają ją lwowską kolebką polskiej weterynarii. W ramach projektu Programu Współpracy Transgranicznej PL-BY-UA naukowcy Narodowego Uniwersytetu Medycyny Weterynaryjnej i Biotechnologii imienia Stefana Grzyckiego we Lwowie we współpracy z kolegami z Polski przy użyciu nowoczesnych technologii cyfrowych i multimedialnych zarchiwizowali część materiałów dokumentacyjnych weterynaryjnego szkolnictwa i nauki przed II wojny światowej. Jest to jedna z form ratowania wspólnego dziedzictwa polsko-ukraińskiego na Ukrainie przed zagrożeniem wojennym.

TEKST I ZDJĘCIA
KONSTANTY CZAWAGA

– Ten projekt powstał lata temu – powiedziała dziennikarzowi Kuriera Galicyjskiego docent Ałła Winiarska, główny koordynator projektu. – Zaczęli go nasz profesor Antoni Gamota i kolega z Polski lekarz weterynarii Zbigniew Wróblewski z Olsztyna. Dzięki nim udało się to zrobić. To oni pomogli mi odkryć bogactwo tej uczelni. Pracując tu na co dzień, nawet nie przypuszczałam, jakie mamy skarby.

Zapomniany archipelag muzealny

Narodowy Uniwersytet Medycyny Weterynaryjnej i Biotechnologii imienia Stefana Grzyckiego, dawniej Instytut Weterynarii, współczesnym lwowianom kojarzy się z gmachem w stylu architektury stalinowskiej przy ulicy Piekarskiej. Zespół dawnych zabudowań tej uczelni zachował się na zapleczu budynku administracji dzielnicy Lyczakowskiej przy ulicy Lewickiego (dawnej Kochanowskiej).

– A jeszcze wcześniej ta ulica nazywała się Na Rurach – wyjaśnia emerytowany profesor Antoni Gamota, wychowanek ostatniej plejady wybitnych polskich naukowców tej uczelni.

Profesor Antoni Gamota zachował przedwojenną polską gwarę lwowską. Przy każdej okazji chętnie dzieli się swoimi doświadczeniami i encyklopedyczną wiedzą.

W ramach projektu Programu Współpracy Transgranicznej PL-BY-UA pod jego redakcją zostały wydane dwa tomy opracowań pod tytułem „Ocalić od zapomnienia: z dziejów Wyższej Uczelni Weterynaryjnej we Lwowie”.

– Zaczęło się to w 1881 roku, kiedy powstała tu skromna



PROF. ANTONI GAMOTA, DOC. AŁŁA WINIARSKA

fachowa szkoła, bo nie było wtedy nauczania weterynaryjnego takiego jak w krajach Europy – opowiada profesor Gamota. – Była to już piętnasta szkoła w Europie. Powstała dzięki profesorowi-protomedykowi Alfredowi Biesiadeckiemu, który dojrzał wielką potrzebę takiej szkoły w Galicji, ponieważ w Galicji było mnóstwo bydła, koni i różnych zwierząt. Przekonał do niej różnych profesorów i nie tylko profesorów. Dekretem Franciszka Józefa I szkoła została założona.

W ramach projektu w jednym ze wspomnianych wydań zostały umieszczone wspomnienia prof. Włodzimierza Kulczyckiego (1862–1936), który odnotował: „Galicyjski Sejm krajowy ofiarował na ten cel grunt kilkunastomorgowy w pięknym ustroniu wzdłuż ulicy Kochanowskiej, z czego do wyłącznego użytku szkoły wyznaczono przeszło 7 morgów. W kierunku wschodnim grunt ten sięgał aż do ulicy św. Piotra, koszar wojskowe bowiem przy tejże ulicy wybudowane zostały dopiero około dwadzieścia lat później. Na gruncie tym znajdowało się kilka nędznych budynków, które przeznaczono na użytek szkoły”.

– Od samego początku najbardziej zaangażował się profesor Piotr Seifman, który przyjechał z Krakowa – mówi dalej prof. Antoni Gamota. – Najbardziej przyłożył się Józef Szpilman. Profesor był dobrym menedżerem, który wiedział jak to ma działać. Obaj byli absolwentami „Jagiellonki” w Krakowie – tak się kiedyś mówiło. Biesiadecki przekonał Szpilmana w drodze do Wiednia, dokąd ten jechał by kształcić się na okulistę. Powiedział: „Co ty w tym oku znajdziesz? Kolego, właśnie tu jest potrzeba lekarzy weterynaryjnych”. I przekonał Szpilmana. Przekonał. Szpilman ukończył Instytut w Wiedniu. Po dwóch latach – była taka zasada, że kto miał ukończoną Jagiellonkę czy

inne wyższe studia, mógł zrobić weterynaryjną medycynę w ciągu dwóch lat – Szpilman został prawą ręką i zastępcą profesora Seifmana. I gdy profesor Seifman w 1903 roku zmarł, Szpilman objął po nim szkołę. Pracowali w niej wówczas profesorowie Henryk Kady, Antoni Barański i Paweł Kretowicz. Poziom naukowy szkoły był bardzo wysoki. Kadra wiedziała, że potrzebne są reformy, żeby wyprowadzić tę szkołę do poziomu akademii. I tak się stało. Dzięki Kadyemu i Szpilmanowi. To właśnie dzięki nim szkoła przekształciła się w akademię. Pierwszym jej rektorem wybranym przez grono profesorów został prof. Szpilman był, który najbardziej się tu przysłużył. Po Szpilmanie rektorem został obrany chirurg prof. Stanisław Królikowski, również bardzo zasłużony. Przyjechał z Warszawy, po ukończeniu magistratury w Sankt-Petersburgu. Po wybuchu I wojny światowej profesorowie naszej uczelni czuli się zagrożeni przez Rosjan, dlatego wielu z nich opuściło Lwów. Pierwsza interwencja Rosjan we Lwowie trwała 293 dni. To bardzo długo i był to czas bardzo ciężki. Z grona profesorów pozostali: profesor Włodzimierz Kulczycki, młody asystent Bolesław Weigel, Stanisław Runge i Kazimierz Szczudłowski. Ta czwórka pilnowała majątku naszej uczelni, który został ulokowany w kuźni, gdzie mistrzem podkuwania koni był ojciec prof. Kazimierza Szczudłowskiego. Obecność Rosjan na ogół wówczas trwała od 1914 do 1920 roku. W 1920 roku armia Budionnego była już w Winnikach, Podborcach, Jampolu, Borszczowcach – przed bramami Lwowa. I znów wielu profesorów wyjechało. Włodzimierz Kulczycki pozostał na miejscu. Po wojnie grono profesorów powierzyło rektorstwo prof. Kulczyckiemu, jego kadencja trwała trzy lata. Konstancy Łopatyński, profesor młodej jeszcze wówczas katedry terapii, do



TABLICA W MUZEUM

pracy przez cały Lwów szedł na piechotę. Mieszkał koło kościoła św. Elżbiety. Nasza uczelnia była pierwszą polską uczelnią weterynaryjną.

Za II Rzeczypospolitej, w 1922 roku, z racji wysokiego poziomu kształcenia nazwę uczelni zmieniono na Akademię Medycyny Weterynaryjnej, która stała się znaczącym weterynaryjnym ośrodkiem akademickim w Europie.

– Niewiele osób w Polsce i w Ukrainie ma świadomość historycznej roli, jaką odegrała lwowska uczelnia weterynaryjna w rozwoju szeroko pojętej medycyny weterynaryjnej – zaznaczył znany w Polsce lekarz weterynarii Zbigniew Wróblewski, który przez prawie 30 lat czyni wszystko, aby nie zapomniano o tej uczelni i osiągnięciach ówczesnych naukowców lwowskich. – W przekazie publicznym rola medycyny weterynaryjnej funkcjonuje najczęściej w odniesieniu do lecznictwa zwierząt, a nie jako dziedziny wiedzy mającej na celu ochronę zdrowia człowieka od zagrożeń związanych z chorobami odzwierzętami przy kontakcie ze zwierzętami oraz konsumpcją żywności zwierzęcego pochodzenia. Znaczenie medycyny weterynaryjnej w historii i jej znaczenie dla rozwoju hodowli zwierząt i bezpieczeństwa żywności jest znane w wąskim gronie lekarzy weterynarii oraz pasjonatów. Koncepcja stworzenia samodzielnej grupy zawodowej o wykształceniu akademickim świadomej swojej misji ochrony człowieka przed zoonozami i sprawującej nadzór nad żywnością zwierzęcego pochodzenia oraz zdolnej do podjęcia diagnostyki, terapii i profilaktyki chorób zwierząt została zrealizowana we Lwowie. Od roku 1881 do 1939, w jedenaście lat po uzyskaniu autonomii przez Galicję, gdy nastąpiło spolszczenie szkolnictwa i administracji, Lwów był jedynym w polskiej historii ośrodkiem akademickim (powstał w 1927 w Warszawie Wydział Medycyny Weterynaryjnej był w strukturach Uniwersytetu Warszawskiego) kształcącym lekarzy weterynarii z polskim językiem wykładowym w samodzielnej uczelni posiadającej od 1909 roku pełne prawa akademickie (wyboru rektora, nadawania tytułu doktora medycyny weterynaryjnej, habilitacji oraz doktora honoris causa). Uczelnia kształciła Polaków, Ukraińców, Czechów, Serbów, Bułgarów, Słoweńców oraz studentów innych

narodowości. Mimo jej wielonarodowościowego charakteru nigdy nie dochodziło na niej do konfliktów etnicznych i zawsze była symbolem tolerancji. Jako jedna z czterech wyższych uczelni wymieniana była w przewodnikach po Lwowie.

Profesor Antoni Gamota wskazał, gdzie mieściła się brama wejściowa na teren dawnej uczelni. Do budynku głównego prowadziła aleja kasztanowa. Teren był odgradzony od ulicy Kochanowskiej (obecnie ul. Lewickiej) żelaznym wysokim płotem. Teren akademii był eksterytorialny. Nadal jest używany przez uniwersytet dawny budynek odlewni żeliwa Schumanna, gdzie w 1881 roku otwarto Szkołę Weterynarii. Na parterze mieściły się wszystkie zakłady, muzea, laboratoria, trzy sale wykładowe, biblioteka, na piętrze mieszkanie dyrektora szkoły i mieszkania służbowe. W skrzydle budynku głównego były mieszkania dla asystentów oraz lecznica dla psów.

Na murze widoczna jest tablica ku czci Wacława Moraczewskiego z tekstem w języku ukraińskim. Wacław Damian Cholewa-Moraczewski (1867–1950), wybitny polski naukowiec, był rektorem Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie w latach 1925–1933. Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta. Profesor Wacław Moraczewski był twórcą lwowskiej szkoły biochemicznej, wydał ponad 200 prac eksperymentalnych opublikowanych w różnych językach. Jako jeden z pierwszych na świecie badał przemianę materii w przebiegu białaczki.

Przy wejściu do dawnego gmachu głównego znajdowała się tablica umieszczona w 1931 roku z napisem: „Pierwszej polskiej uczelni weterynaryjnej w hołdzie za pięćdziesiąt lat nieprzerwanej pracy pedagogicznej i krzewienie nauki weterynaryjnej w Kraju i w Zachodniej Słowiańszczyźnie, dla uczczenia pamięci tych, którzy już odeszli, dla zachęty tych, którzy są i tych, którzy będą w dalszym zdobywaniu najwyższych celów, tablicę tę poświęca Zrzeszenie Lekarzy Weterynaryjnych Rzeczypospolitej Polskiej”.

Tablica wisiała jeszcze przez pewien czas po II wojnie światowej i przed barbarzyńcami sowieckimi uratował ją Antoni Gamota.

– Kiedyś tablicę zauważył miejscowy sekretarz partii o nazwisku Zwieriew i nakazał: „Snać etu burżuaznuju wywiesku!” (Zdjąć tę burżuazyjną wywieszkę). Komendant uczelni poręczył mi, jako aspirantowi, oraz jeszcze dwom studentom zdjąć tablicę. Włożyliśmy tablicę do worka z grubego materiału spod cukru kubańskiego i zanieśliśmy do piwnicy, wówczas kotłowni. Leżała tam przez długie lata. Sucho, ciuchutko. Za szafą. I właśnie tak się uchroniła.

Uratowana przez profesora Gamotę polska tablica znajduje się teraz w Muzeum Narodowego Uniwersytetu Medycyny Weterynaryjnej i Biotechnologii im. Stefana Grzyckiego. Przeniesiono tam też tablicę pamiątkową ku czci prof. Stanisława Królikowskiego.

Uniwersytet posiada również kilka muzeów z unikatowymi eksponatami dotyczącymi weterynarii. Jest to przede wszystkim Muzeum Podków, gdzie można zobaczyć ponad 400 eksponatów z całego świata. Muzeum powstało na bazie unikatowej kolekcji podków zgromadzonych przez profesora Kazimierza Szczudłowskiego i jego ojca, który był zawodowym kowalem.

Profesor Mikołaj Żyła oprowadził po Muzeum Katedry Anatomii Patologicznej, które mieści się w dwóch salach.

Znajdują się tam również preparaty typowe dla powszechnych procesów patologicznych, takich jak stany zapalne, zaburzenia metaboliczne, zaburzenia krążenia i nowotwory.

Muzeum zostało założone przez profesora Mieczysława Grabowskiego na początku XX wieku. To właśnie on był inicjatorem utworzenia takiego muzeum na oddziale, które w dalszym ciągu uzupełniano o leki. Posiadamy ponad tysiąc różnych eksponatów makropreparatów – powiedział prof. Żyła.

Profesor Wiktor Halas zaprowadził nas do kolejnego muzeum:

– To muzeum zostało otwarte w 1997 roku. Zachowano tutaj autentyczny wygląd gabinetu Stefana Grzyckiego, patrona uczelni, w którym znajduje się aż dwa tysiące eksponatów, w tym meble, książki i czasopiśma, z których korzystali nasi poprzednicy.

Muzealne są też wnętrza innych katedr i sal, gdzie można zobaczyć różne urządzenia, meble, naczynia, piece z przełomu XIX–XX wieków. W budynku przypominającym dużą stajnię znajduje się klinika chirurgiczna i klinika chorób.

Uniwersytet jest właścicielem Pałacu Turkułów-Comello (Batyckich) przy ulicy Piekarskiej, zakupionego przez Akademię Medycyny Weterynaryjnej w 1937 roku od adwokata Eugeniusza Batyckiego, ojca Miss Polonii 1930 roku Zofii Batyckiej. Według odnotowanych wspomnień, ówczesni studenci akademii budynek ten nazywali „Pałacem Batyckich”. Umieszczono w nim Zakład Nauki o Środkach Spożywczych Zwierzęcego Pochodzenia.

Osobno zasługuje na uwagę siedziba biblioteki uczelni w Domu Akademickim, gdzie zgromadzono ponad 6 tys. dzieł w 12 300 tomach oraz czasopiśma w różnych językach. Duża część tych zbiorów mimo wojen i grabieży przetrwała do czasów obecnych. Zachował się unikatowy, nienaruszony przedwojenny wystrój wnętrza Biblioteki Akademickiej.

Ocalić od zapomnienia

Główny koordynator projektu docent Ałła Winiarska powiedziała, że jednym z głównych zadań realizowanego projektu było ocalenie niszczących z upływem czasu zbiorów dokumentujących polsko-ukraińskie korzenie historyczne weterynaryjnego szkolnictwa i nauki w latach 1881–1945.

– Możliwa do wykonania w ramach ograniczonego budżetu projektu część dokumentów historycznych została zarchiwizowana przy użyciu nowoczesnych technologii cyfrowych i multimedialnych. W czasie prac nad projektem odnaleziono wiele nieznanych cennych dokumentów uzupełniających historię weterynarii. Większość prac związanych z archiwizacją wykonano we Lwowie, pozyskano również cenne skany dzięki dr Ewie Grin-Piszczek w Archiwum Państwowego w Przemyślu oraz z prywatnego archiwum prof. Alfreda Trawińskiego udostępnionego przez jego córkę prof. Beatę Trawińską. Niniejszy katalog zawiera syntetyczny rys historyczny rozwoju szkolnictwa i nauki weterynaryjnej we Lwowie zawierający w większości ilustracje pozyskane w trakcie realizacji programu. Komu to jest potrzebne? Pracownikom uczelni, studentom, weterynarzom. – wyjaśnia Ałła Winiarska. – Powiem tak: jeśli znasz swoje korzenie, wiesz kto tutaj pracował, jacy to byli bohaterowie w tych czasach, kiedy nie było prądu, wody, ogrzewania, i jakie osiągnęli wyniki, to po prostu rozumiesz od razu kim jesteś. I wtedy jest łatwiej pracować i iść do przodu.

Wspólny polsko-ukraiński projekt zrealizowano w warunkach pandemii covidu oraz pełnoskalowej wojennej inwazji Rosji przeciwko Ukrainie.

– Myśleliśmy, że to będzie łatwo i szybko – mówi Ałła Winiarska. – Tak nie jest. Opracowaliśmy jeden procent wszystkiego co mamy. I przed nami po prostu dużo pracy. Naprawdę, tak dużo, że w jakimś momencie byliśmy zastopowani. Co wybrać? Co ważniejsze? Trudność covidu, kiedy nie mogliśmy ze sobą kontaktować.

I te spotkania online, kiedy tu w bibliotece trzeba było skanować dokumenty i dyskutować co odbieramy do projektu, a co nie. To jedna trudność. Druga to wojna. Ale nasz kolega Zbigniew Wróblewski powiedział: „Posłuchajcie, musimy pracować. Wojna wojną, ale dwie godziny dziennie, żeby do głowy nie wchodziły różne złe myśli, pracujemy”. I pracowaliśmy. Potem, kiedy troszeczkę sytuacja się ustabilizowała, koledzy z Polski przyjechali do Lwowa. Raz, drugi, trzeci. Trudna była praca, bo alarmy powietrzne, stopowanie pracy, wyłączanie aparatury, zejście na dół i powrót. Na czwarty raz rozumiesz, że możesz tu zostać, ale urządzenie musisz stopować. Wszystko wyłączyć. Tak wyglądała praca. Mamy natomiast bardzo dobre kontakty, dobre doświadczenie, bardzo dobre relacje między ludźmi i to nas połączyło, lekarzy weterynarii z Polski i nasz uniwersytet. Ostatnio zrealizowaliśmy dwie konferencje. Konferencja w Toruniu na Uniwersytecie Kopernika i konferencja w Olsztynie na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. Izba Lekarsko-Weterynaryjna dała nam swój bus do przewożenia wszelkich materiałów. Wydrukowała również ponad tysiąc katalogów, opracowanych w ramach projektu.

Zbigniew Wróblewski, lekarz weterynarii z Olsztyna, który aktywnie uczestniczył w projekcie i jest jednym z autorów dwujęzycznego katalogu, powiedział w wywiadzie dla Kuriera Galicyjskiego:

– Po 1945 roku kontakty z Polską stały się niemożliwe, a ze względów politycznych usiłowano pomniejszyć rolę uczelni w historii europejskiej weterynarii. Skazano ją na zapomnienie, mimo że oblicze polskiej weterynarii było kształtowane przez olbrzymią rzeszę lekarzy weterynarii, absolwentów i profesorów Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, którzy wiedzę o uczelni przekazywali w sposób nieoficjalny. Uptywające lata powodowały marginalizację jej znaczenia i w świadomości kolejnych pokoleń lekarzy weterynarii

wiedza o lwowskiej uczelni została całkowicie zminimalizowana, natomiast w świadomości społecznej w Polsce i mieszkańców Lwowa praktycznie przestała istnieć. Spadkobiercą historycznych tradycji uczelni jest Lwowski Narodowy Uniwersytet Medycyny Weterynaryjnej i Biotechnologii im. Stefana Grzyckiego. Zlokalizowane na terenie Uniwersytetu istniejące budynki, w których uczelnia ponad 140 lat temu rozpoczęła swoją działalność (a propos, niemające statusuabytków), elementy ich wyposażenia, zgromadzone unikalne w skali europejskiej różnorodne zbiory historyczne są niezwykle cenne dla historii medycyny weterynaryjnej oraz historii miasta Lwowa. Nigdzie w naszej części Europy nie zachowało się tyle różnorodnych eksponatów do czasów współczesnych, w innych krajach zniszczyły to wojny. Po uzyskaniu niepodległości przez Ukrainę uczelnia stała się przykładem weterynaryjnej porządowej współpracy ukraińsko-polskiej. Dużą rolę w tych działaniach odegrali członkowie polskiej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej. Organizowano konferencje naukowe, spotkania, wymianę studentów, konferencje historyczne oraz wspólny program w ramach współpracy transgranicznej w przyjaznej i szczerzej atmosferze w oparciu o wspólne korzenie i tradycje. Dając przykład jak powinna wyglądać prawdziwa i przez nikogo niesterowana współpraca między Ukrainą a Polską, z tych doświadczeń powinny korzystać strony rządowe. Przez polskich lekarzy weterynarii uczelnia lwowska traktowana jest jako „kolebka współczesnej medycyny weterynaryjnej” jest miejscem wyjątkowym dla polskich lekarzy weterynarii i ich rodzin chcących obejrzeć miejsca, gdzie studiowali ich przodkowie, dziadkowie i ojcowie. Jest również miejscem często odwiedzanym przez studentów i lekarzy weterynarii z wielu krajów. Poważne zaniepokojenie budzą plany reorganizacji uczelni, a zwłaszcza los historycznych budynków oraz zgromadzonych od ponad 140 lat

unikalnych, w tym jeszcze niekatalogowanych i zdigitalizowanych zbiorów. Stanowią one wspólne dziedzictwo historyczne i kulturowe Ukraińców i Polaków oraz miasta Lwowa. Z tego powodu warto przerwać amnezję historyczną popularyzując wiedzę w społeczeństwie o zapomnianej niezwykle historii lwowskiej uczelni weterynaryjnej, po której tak dużo zostało mimo upływu ponad 140 lat.

Być lub nie być

Profesor Antoni Gamota, oprowadzając mnie po historycznym terenie uczelni, powiedział, że po II wojnie światowej było już kilka prób przeniesienia jej poza Lwów, do podmiejskich Dublan czy nawet do obwodu tarnopolskiego. Pokazał słup dawnej granicy z klasztorem sakramentek oraz miejsce, gdzie była słynna apteka weterynaryjna. Podczas wakacji letnich, gdy wykładowcy ze studentami wyjeżdżali na praktyki, szybkoitko ją wyburzono i w tym miejscu stanęła kotłownia. To jest łasy teren dla współczesnych deweloperów. Czasami wystarczy, że ktoś w jakiś sposób kupi nieczynne pomieszczenie techniczne czy gospodarskie i już wyrasta tam wielopiętrowy blok.

Chciałem zobaczyć umieszczony na zdjęciu w katalogu wybudowany przed wybuchem II wojny światowej budynek dla Zakładu Położnictwa i Ortopedii. Żeby się zbliżyć, musieliśmy przejść przez furtkę w metalowym płocie, który otacza nowy blok mieszkalny. Profesor Gamota powiedział, że budynek Zakładu Położnictwa i Ortopedii z krytą ujeżdżalnią dla koni już we wrześniu 1939 został zajęty przez wojska sowieckie. Nigdy nie został odzyskany. Gmach długo był w dobrym stanie, teraz wygląda jak po zombardowaniu. Chociaż ogrodzono go metalowym płotem, budynek już jest bez okien, a z murów ktoś cichcem wyciąga cegłę.

Od kościoła sakramentek (teraz cerkiew greckokatolicka) ścieżka prowadzi na zalesione wzgórze, gdzie jeszcze nie tak dawno była malownicza polonina. Czasem wypasły się tam zwierzęta doświadczały. Było to też jedno z ulubionych miejsc śp. Bożeny Rafalskiej, założycielki i redaktorki naczelnej odrodzonej po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości „Gazety Lwowskiej” i „Lwowskich Spotkań”. Teraz na szczycie stoi prowinowocna cerkiewka prawosławna. Jeszcze niezalegalizowana przez władze, jednak z nadzieją na wiernych z nowych bloków, które powstają dookoła.

W kolejnych numerach Nowego Kuriera Galicyjskiego przybliżymy dzieje lwowskiej uczelni weterynaryjnej, a naszym czytelników i przyjaciół zachęcamy na historyczną trasę turystyczną po dawnej Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, która została opracowana w ramach wspomnianego projektu.



DAWNY GMACH GŁÓWNY UCZELNI WETERYNARYJNEJ

Profesor Mykoła Bandriwski o skarbach w podziemiach świątyni lwowskich (cz. 1)

19 marca br. we lwowskim Pałacu Sztuki przy ulicy Kopernika Ukraińskie Towarzystwo Fotograficzne (UFOTO) zorganizowało twórcze spotkanie z profesorem Mykołą Bandriwskim, znanym lwowskim archeologiem, miłośnikiem historii Lwowa, autorem licznych prac naukowych i naukowo-popularnych. Było to kolejne spotkanie z cyklu lekcji dotyczących historii i kultury Lwowa i Ziemi Lwowskiej, które UFOTO organizuje we współpracy ze lwowskim Pałacem Sztuki i lwowskim Muzeum Fotografii. Spotkanie zorganizował i prowadził Roman Metelski, prezes Towarzystwa Fotograficznego.

TEKST I ZDJĘCIA
JURIJ SMIRNOW

Profesor Mykoła Bandriwski jest jednym z najbardziej znanych i cenionych archeologów współczesnego Lwowa, przewodniczącym Komisji Archeologicznej Naukowego Towarzystwa im. T. Szewczenki (NTSz). We wstępie prelegent powiedział, że opowie tylko o kilku najciekawszych, nawet sensacyjnych wynikach wykopaliś w których osobiście brał udział, zaś takich prac podczas jego ponad 40-letniej działalności naukowej archeologicznej było znacznie więcej. Dlatego profesor skupił się tylko na badaniach kilku podziemi świątyni lwowskich, między innymi greckokatolickiej katedry pw. św. Jura i kościoła pw. św. Marii Magdaleny. Poza tymi pracami archeologicznymi to właśnie on badał podziemia dawnego kościoła oo. jezuitów (obecnie cerkiew garnizonowa UGKC), prowadził wykopaliśka w dzielnicy żydowskiej przy ulicy Iwana Fedorowicza i nie tylko. Lista jego prac archeologicznych poza Lwowem jest również imponująca.

Historia odnalezienia prawdziwych skarbow w podziemiach wyżej wspomnianych świątyni już od dawna jest owiana we Lwowie legendami, lecz w tym przypadku tylko fakty, o których opowiadał Mykoła Bandriwski, są bardziej intrygujące niż każda legenda. W każdym z opisanych przez niego przypadków ma on swoje oryginalne tłumaczenie naukowe, które jest nowym słowem we lwowskiej archeologii i historii. Jak napisał profesor w swoim facebooku, ma on i inne „ciekawe przypuszczenia naukowe, gdzie i jakie inne sensacyjne skarby można we Lwowie znaleźć, nawet pod starym brukiem lwowskim”.

Otóż, zaczynamy od unikatowych prac archeologicznych i ich sensacyjnych wyników w podziemiach (krypcie) katedry pw. św. Jura. We wstępie Mykoła Bandriwski powiedział:

– W 1991 roku, więcej niż trzydzieści lat temu, do Lwowa wrócił z Watykanu zwierzchnik Kościoła greckokatolickiego (UGKC) kardynał Myrosław Lubacziwski. Właśnie kardynał postanowił uporządkować kryptę pod ołtarzem głównym świątyni katedralnej, w której między innymi był pochowany arcybiskup metropolita Andrzej Szeptycki i kardynał Sylwester Sembratowicz. Poza tym trwały przygotowania przeniesienia zabalsamowanych szczątków kardynała Josyfa Słipyja z katedry pw. św. Zofii w Rzymie do katedry

św. Jura we Lwowie, właśnie do tej krypty. Ten wybitny hierarcha Kościoła greckokatolickiego wyraził w testamentie prośbę o przeniesieniu jego szczątków z Rzymu do Lwowa, kiedy Ukraina będzie niepodległym państwem. Przed tak ważnym historycznym aktem cerkiewnym trzeba było kryptę uporządkować i wyremontować. Poza tym nikt nie wiedział co się działo w krypcie w czasie półwiecza działalności w katedrze przedstawiciele rosyjskiej cerkwi patriarchatu moskiewskiego. W tych sprawach kardynał Myrosław Lubacziwski zwrócił się do archeologicznej komisji NTSz, która właśnie delegowała trzech archeologów, mianowicie Mykołę Bandriwskiego, Romana Sułyka i Jurija Łukomskiego.

13 listopada 1991 roku archeolodzy rozpoczęli prace wykopaliśkowe. Krypta znajduje się w miejscu szczególnym, pod ołtarzem głównym, jest niewielka, kwadratowa – 8,2 m na 8,2m. Niestety moskiewscy popi doprowadzili tak święte miejsce do stanu wysypiska śmieci po remontach. Profesor Bandriwski z tego powodu podkreślił, że przed wojną do krypty nikt nie mógł nawet wejść bez pozwolenia metropolity lub proboszcza katedralnego.

Podczas wykopaliś archeolodzy odnaleźli dużo kości z poprzednich pochowań z różnych stuleci, razem szczątki ponad 70 osób, mianowicie dostojników cerkiewnych, zakonników (cerkiew przez dłuższy czas była klasztorą oo. bazylianów), ale też kobiet i dzieci. Znalezione też pochowanie ihumena oo. bazylianów Nikifora Szeptyckiego (zmarł w 1776 roku) i część omoforionu długości około 70 cm z herbem biskupa Jowa Boreckiego (zmarł w 1623 roku). Znalezione też pozostałości trumien, drewniane rzeźbione krzyże, wyroby ze skóry. Krypta miała dobrze pomyślaną cyrkulację powietrza – zadbali o to XVIII-wieczni budowniczy. W krypcie znajdowało się też późniejsze, z 1958 roku pochowanie prawosławnego moskiewskiego arcybiskupa Fotija.

Pierwszym ciekawym znaleziskiem archeologów były dwie drewniane skrzynie o wymiarach 1,2 m, w których znajdowało się 104 butelki przedwojennego wina mszalnego. Udało się wyjaśnić, że było to włoskie wino, zakupione w latach 1926–1927. Ciekawe znalezisko, przecież miało



MYKOŁA BANDRIWSKI

to wino prawie 100 lat i przez 50 lat było zakopane w ziemi. Nie można było nie pokusić się i nie spróbować! Smak, również zapach były znakomite! Wszystkie butelki przekazano duchowieństwu katedralnemu. Ale to znalezisko było tylko początkiem. Prawdziwa sensacja czekała na archeologów nieco później. Otóż pewnego dnia wykopano drewnianą skrzynię o wymiarach 40 na 350 cm. W skrzyni znajdowały się pozostałości (kości) szkieletu ludzkiego. Każda z nich, nawet najmniejsza, była starannie zawinięta w papier. Tuż znajdowała się niewielka butelka, zaś w niej list. Znaleziska odniesiono do laboratorium, tam prof. Bandriwski ostrożnie otworzył butelkę i wyciągnął list napisany odręcznie przez profesora Jarosława Pasternaka na blankiecie, z czerwoną pieczętką przedwojennego Towarzystwa Naukowego im. T. Szewczenki. Profesor Pasternak napisał co następuje: „Zaświadczenie. Stwierdzam słowem honoru naukowca, że dołączone do tego listu kości są kompletnym szkieletem mężczyzny,

które znalazłem podczas wykopaliś w księżącym Haliczu w sarkofagu kamiennym i są to szczątki fundatora wspomnianej katedry (Uspenija Bogurodzicy w Haliczu) kniazia Jarosława Ośmiomyśla”. Niżej znajdował się własnoręczny podpis profesora Jarosława Pasternaka, dyrektora Muzeum NTSz i data 31 sierpnia 1939 roku. Był to ostatni dzień przed wybuchem II wojny światowej! To już była prawdziwa sensacja na skalę światową!

Tutaj trzeba wyjaśnić kim był książę Jarosław Ośmiomyśl i kim był profesor Jarosław Pasternak. Książę halicki Jarosław Ośmiomyśl (1130–1187) był najwybitniejszym władcą księstwa halickiego, który poszerzył tereny księstwa od Karpat do morza Czarnego. Brał udział w bitwach z Połowcami, był fundatorem katedry (soboru) prawosławnego pw. Uspenija Bogurodzicy w Haliczu, gdzie też został pochowany w nocy z 1 na 2 października 1187 roku. Sobór został zniszczony jeszcze w XIII wieku i miejsca gdzie znajdował się (również miejsca pochówku księcia

Jarosława Ośmiomyśla) przez długie wieki nie udało się zidentyfikować.

Profesor Jarosław Pasternak (1892–1969) urodził się w Chyrowie na Ziemi Lwowskiej. W latach 1910–1914 studiował archeologię i filozofię na uniwersytecie lwowskim, zaś w latach 1922–1925 – archeologię na uniwersytecie w Pradze. W latach 1923–1928 prowadził prace archeologiczne na terenie starej Pragi. Od 1928 roku wrócił do Lwowa i objął kierownictwo Muzeum Naukowego Towarzystwa im. T. Szewczenki. Na zaproszenie metropolity Andrzeja Szeptyckiego prowadził prace archeologiczne w katedrze pw. św. Jura we Lwowie, a następnie w latach 1934–1941 w Haliczu. Był on również profesorem greckokatolickiej Akademii Duchownej we Lwowie. W Haliczu profesor Pasternak zrobił największe odkrycie swego życia – znalazł fundamenty soboru Uspenija Bogurodzicy i sarkofag z pochowaniem księcia Jarosława Ośmiomyśla. W 1944 roku Pasternak wyjechał ze Lwowa do Monachium, a dalej do Toronto (Kanada). Zmarł w 1969 roku i został pochowany w Toronto.

Otóż w 1933 roku metropolita Andrzej Szeptycki zaangażował Jarosława Pasternaka do prowadzenia prac archeologicznych na wzgórzu świętojurskim, w krypcie katedralnej. Metropolie chodziło między innymi o zbadanie możliwych podziemnych tajnych przejść, o których we Lwowie krążyły legendy i przekazy. Ale w krypcie takich przejść Pasternak nie znalazł. W kolejnym sezonie prac archeologicznych Pasternak prowadził prace badawcze wykopaliśkowe w nawie głównej świątyni. W tym miejscu znalazł fragmenty starej spalonej cerkwi. Co odkrył jeszcze, do dziś dokładnie nie jest znane. Profesor Mykoła Bandriwski mówi, że wyniki badań archeologicznych nie były opublikowane, również nie ma w archiwach żadnych świadectw, publikacji lub dokumentów dotyczących tych prac. Nie odnaleziono też żadnych planów przeprowadzonych wykopaliś. Kompletna tajemnica! Bardzo intrygująca i budząca różne wersje. Tym bardziej, że później rzeczywiście odnaleziono podziemne przejście z pałacu arcybiskupiego w stronę współczesnej ulicy Gródeckiej, do miejsca, w którym stoi teraz budynek cyrku. Poza tym prof. Bandriwski stwierdza, że podczas prac wykopaliśkowych, które on prowadził w krypcie katedry nie znalazł żadnych informacji o istnieniu na wzgórzu świętojurskim wcześniej niż w wieku XV jakichkolwiek zabudowań klasztornych lub śladów budownictwa świątyni. Legendy o istnieniu cerkwi i klasztoru oo. bazylianów za czasów księcia Lwa (druga połowa XIII wieku) nie zostały potwierdzone żadnymi konkretnymi materiałami historycznymi lub archeologicznymi. Nie odnaleziono żadnej cegły, żadnej skorupy wcześniejszej niż z wieku XV. Niestety w późniejszym czasie archeologom nie udało się przeprowadzić wykopaliś na terenie, gdzie ustawiono pomnik metropolity A. Szeptyckiego. Według prof. Mykoły Bandriwskiego, nawet słynny dzwon odlany w 1341 roku, który nadal wisi na dzwonnicy katedry św. Jura, nie był sporządzony dla tej świątyni, lecz dla cerkwi pw. św. Georgija, która za czasów księcia Lwa stała w miejscu, gdzie obecnie znajduje się kościół dominikański. Niezwykle cenne i interesujące informacje przekazane przez profesora Mykołę Bandriwskiego zostały wysłuchane z wielkim zainteresowaniem, zaś pytania publiczności sypały się obficie.

(cdn.)



KATEDRA ŚW. JURA. WIDOK OGÓLNY

Kresowe przedmioty mają głos

Zaczarowane instrumenty

W tym krótkim cyklu „opowiadań” będą przedmioty, bowiem w każdym z nich zaklęta jest jakaś historia – czasem niezwykła, czasem zwyczajna. Przedmioty nigdy nie są do końca nieme – uwięzione są w nich emocje; emocje czekające tylko na słowo, które je uwolni. Są niczym pamiętnik. Ożywiają pamięć i ją karmią. Nie ma przedmiotów błahych. Każdy z nich to wehikuł czasu. Jeden przedmiot to jedna opowieść, a bywa, że więcej. Przedmiot jest bowiem niczym soczewka, skupiająca wiele losów, wiele historii, wiele zdarzeń. Jedno wspomnienie przywołuje drugie z zakamarków pamięci, kątów szuflad, z pożółkłych listów. Gawędzą przedmioty o ludziach, ale i mieście – Lwowie, Włodzimierzu, Stanisławowie, Kołomyi, Tarnopolu... Tekst, po niewielkich zmianach, pochodzi z książki „Sekrety kresowych kuferków” (Poznań 2019), autorki artykułu.

ANNA KOZŁOWSKA-RYS

Zaczarowany lwowski flet... Było ich właściwie dwa – duży, z długim ustnikiem z okładziną z kości sioniowej i drugi – piccolo. Grały długie lata we Lwowie, a potem w Krzeszowicach. A kto wie, może i więcej świata zobaczyły? W każdym razie bywały często na ul. Chorążczyzny pod numerem 7. Gdy się głowę wysoko zadarło, wzrok krzyżował się ze spojrzeniem olbrzymiego łabędzia na szczycie budynku.

Przekraczał próg tej szacownej kamienicy nie jeden raz Romek Janiszewski, kierując się do sal Konserwatorium Polskiego Towarzystwa Muzycznego. Utalentowany pan profesor gimnazjalny geografii i matematyki, „magister filozofii w zakresie geografii” na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Jana Kazimierza, ukończył – podobnie jak i jego małżonka – owo Konserwatorium, a potem przez lata występował w jego sali koncertowej. Miłości do muzyki i fletu nie zdradził nigdy, nic więc dziwnego, że instrumenty troskliwie spakowano do kuferka wyjeżdżając ze Lwowa. Pewnie i żarty sobie strojono w rodzinie, że gdyby Roman urodził się „ciut” wcześniej, jakieś bagatela 80 lat, a koligacje rodzinne z szambelanem cesarskim Janiszewskim z Bursztyna byłyby bliskie, to zostałby pewnie uczniem Franciszka Xawerego Mozarta i nie flet, a fortepian byłby mu pisany. O jakichkolwiek koneksjach z organmistrzem i właścicielem fabryki „organów, harmonium i ołtarzów” przy ul. Ogórkowej we Lwowie, Mieczysławem Janiszewskim, nie wiadomo. Jedno trzeba przyjąć za pewnik: zamiłowanie do fletu było wspólne dla Romana i jego teścia.

Gra na flecie zawsze działała kojąco na Romana. Nawet jego uczniowie z Państwowego Zakładu Wychowawczo-Naukowego w Krzeszowicach, dokąd Janiszewscy zawędrowali po wojnie, wspominali, że schodził do pałacowych piwnic – Zakład mieścił się w dawnym pałacu Potockich, żeby mu nikt nie przeszkadzał, a grywał zawsze, kiedy był zdenerwowany, bo muzyka uspokajała go. „Miał w domu żonę



ROMAN JANISZEWSKI ZE SWOIM FLETEM (GÓRNY RZĄD, TRZECI OD PRAWY)

i syna, Dyzia, który był chyba jeszcze bardziej nieznośny od nas, pani Janiszewska okropnie go rozpieszczała, więc profesor musiał uciekać i od Dyzia” – wspominała po latach Zuzanna Chomiczuk.

Roman lubił swoją pracę w szkole i oddawał się jej z pełnym zaangażowaniem. Zawód nauczyciela wybrał już podczas studiów na UJK we Lwowie, zatrudniając się w gimnazjum im. Marii Konopnickiej. Cóż, kwalifikacje zawodowe do nauczania geografii, geologii z mineralogią oraz kosmografii musiał jednak potwierdzać składając przed Komisją Egzaminów Państwowych dla Nauczycieli Szkół Średnich dodatkowy egzamin z nauki o Polsce i świecie współczesnym w 1948 r. Ciekawie, czy przedkładał wówczas Komisji swój indeks, w którym aż się roi od nazwisk profesorskich sław, m.in. Hugo Steinhausa, Stefana Banacha, Włodzimierza Stożka, Marcina Ernsta, Stanisława Tołłoczko czy Stanisława Grabskiego.

Flet z ustnikiem z kości sioniowej po latach, już w czasach powojennych, podarowano jednemu z uzdolnionych uczniów Romana, zatrzymując jedynie w rodzinnym skarbiczku piccolo – zgrabny instrument ze znanej paryskiej wytwórni Jérôme Thibouville-Lamy.

A gdzie te skrzypce Józka Przysiężnego? Jakże przeszły dole i niedole? Na starej przedwojennej fotografii roześmiany jak zawsze „Tońko” – tak bowiem wołano na Józefa, zapewne z racji nieopuszczającego go humoru, a może i podobnej do Henryka Vogelfängera postury – trzyma swoje skrzypce w rękach. Zdjęcie wśród kolegów w pokoju koszarowym na lwowskiej Cytadeli – chwila wytchnienia przy akompaniamencie harmonii i skrzypiec.

A miał Józef zostać aktorem! Zagrał nawet przed wojną w paru filmach role trzecioplanowe, ukończył bowiem w 1929 r. kurs w prywatnej Warszawskiej Szkole Gry Sceniczno-Filmowej Niny Niovilli, a raczej Antoniny Elżbiety Petrykiewicz, lwowianki z urodzenia. W tej samej, w której tajniki gry aktorskiej poznawał wcześniej Aleksander Żabczyński (Żabczyński wdawczy się podobno w konflikt ze swoją mentorką

kursów tych nie ukończył). Zgłębiał więc Józef zasady gry filmowej, teorii gestu i jego plastykę, ćwiczył dykcję, mimodramat (!), kompozycję postaci scenicznych, o zajęciach teoretycznych z historii kina, kinotechniki, kostiumologii, dziennikarstwa filmowego i wielu innych nie wspomniawszy. Po kilku miesiącach uznano, iż Józef nadawał się do ról komicznych, fars i komedii. Według słów samej dyrektorki szkoły, do 1928 r. jej kursy ukończyło 486 adeptów, a niektórzy z nich uzyskali „wszechświatową sławę jak: Mira Palmi (Ambrosio Film, Rzym), Ina Gritt (Monachium), Ala Cwikiewicz, Sabina Zaleska, Gloria Romani (Berlin), Lili Różycka (Wiedeń), Chester Fedor (New York), Lisi Białkowska (Budapeszt), Lila Wętkowska (Berlin)”. Kariera światowa młodemu Przysiężnemu nie była jednak pisana – ani na deskach scenicznych ani na taśmie celulooidowej. We wrześniu 1939 r., gdzieś tam pod Tomaszowem Lubelskim, w szeregach 19 P.P. poszedł Józef do niewoli. Potem Stalag VIII C w Żaganiu, a gdy żagańskich jeńców wrześniowych pozbawiono wbrew Konwencji Genewskiej statusu jeńca wojennego i wywieziono w głąb Niemiec na roboty, znalazł się młody Przysiężny w dalekim Schwarzwaldzie, tuż przy granicy szwajcarskiej, u „bauera” w Stühlingen. Wyzwolenie w kwietniu 1945 r. nie oznaczało dla niego od razu powrotu do rodziny. Pod koniec kwietnia czy z początkiem maja wraz z falą uciekinierów, byłych robotników przymusowych, obcokrajowców, „dipisów”, udało mu się przedostać do Szwajcarii, a stamtąd do Włoch i zaciągnąć się do 3 Dywizji Strzelców Karpackich. To był grudzień 1945 r. Dalej droga wiodła do Anglii. Po demobilizacji był Przysiężny jednym z tych, którzy nie bacząc na wszystko zdecydowali się wrócić do Polski. Na pokład SS „Eastern Prince” płynącym z portu Leith koło Edynburga do Gdańska wsiadło ich wielu. Jednak nie był to już powrót w rodzinne strony, ani na próg lwowskiego mieszkania przy ul. Sulimirskiej. A skrzypce? Pewnie po wojnie to już były inne skrzypce, ale nadal pięknie grały pod smyczkiem Józefa i radości jego żony Karoliny.

Największego samozaparcia wymagało przetransportowywanie instrumentów



JÓZEF PRZYSIĘŻNY ZE SWOIMI SKRZYPCAMI



FLET ROMANA JANISZEWSKIEGO



FORTEPIAN Z „DOMU SZOPENA” FIRMY LEONA HESZELES

o o wiele większych gabarytach, ale przecież i to się zdarzało. Po dziś dzień napotkać więc można w niektórych mieszkaniach pianina lub fortepiany zakupione w „tamym Lwowie”, w „tamtych czasach”. I na jednym widnieje nostalgiczna już teraz tabliczka: „Dom Szopena” Leon Heszles we Lwowie”.

Skład i wypożyczalnia fortepianów i pianin „tak nowych jako też i przegranych” długie lata znajdował się przy ul. 3 Maja we Lwowie, aż w październiku 1899 r. p. Heszles przeniósł go do domu własnego, czyli do kamienicy „Pod Szopenem” na ulicę Sykstujską 11. Wybór instrumentów był u Heszlesa zawsze przedni. Spośród znanych marek w ofercie były austriackie fortepiany

Bösendorfera, obdarzonego w 1839 r. przez Ferdynanda I, cesarza Austrii, pierwszym w historii tytułem „twórcy fortepianów na dwory cesarskie i królewskie”. Rzecz oczywiście, bowiem Heszles otrzymał generalne przedstawicielstwo fabryki na Lwów i Małopolskę Wschodnią. Bösendorferzy trafiały na królewskie dwory Anglii, Francji i Rosji. Grali na nich najwięksi: Johannes Brahms, Franciszek Liszt czy Ignacy Jan Paderewski. Zdobywały złote medale na międzynarodowych wystawach, obecne były na arystokratycznych dworach. W 1889 r. manufaktura patronowała pierwszemu Konkursowi Pianistycznemu im. Bösendorfera, zorganizowanemu celem wspierania młodych talentów i studentów ówczesnego Konserwatorium Towarzystwa Przyjaciół Muzyki w Wiedniu, gdzie nagrodą dla zwycięzcy był oczywiście ufundowany przez Ludwika, syna twórcy firmy, Ignacego, fortepian. Tradycja honorowania w ten sposób najlepszego ucznia konserwatorium utrzymuje się po dziś dzień! Sala koncertowa Bösendorfera, należąca w latach 1872-1913 do jednych z najczęściej uczęszczanych sal koncertowych Wiednia, w których grano muzykę kameralną.

W latach międzywojennych dźwięki fortepianu Bösendorfera rozbrzmiewały w domu przy ul. Andrzeja Potockiego 76 we Lwowie. To na nim bowiem ćwiczył utalentowany muzycznie chłopiec – Andrzej Nikodemowicz, przyszły pianista i kompozytor. A w ilu jeszcze innych domach? Choć trzeba przyznać, iż nie zawsze przy klawiaturze zasiadali, mówiąc delikatnie, przyszli wirtuosi. (...) I panna Hela, ta na drugim piętrze, (Panie, na drogę rozumu ją sprowadź!) W nagłym natchnieniu, w zadumie najświętszej Jęła fortepian z furii demolować.

Nie, dosyć tego! Wszystko kornie ścierpie: Psa, handelesa, dostawczynię mleka, Ale cierpliwość w końcu się wyczerpie, Kiedy się słyszy, jak fortepian szczeka.



ŁABĘDŹ NA FASADZIE KONSERWATORIUM

W Babim Jarze opowiadają o tradycyjnym żydowskim świecie i zapomnianych symbolach

Ostatnio w Centrum „Żywa Pamięć” Narodowego rezerwatu Historycznego „Babi Jar” otwarto personalną wystawę prac stałego autora Nowego Kuriera Galicyjskiego, dziennikarza Dmytra Poluchowycza, zatytułowaną „Satanów – zagubiony świat starego cmentarza żydowskiego”. Ekspozycja w instytucji o statucie „Narodowy” jest bardzo prestiżowa, tym bardziej w takim miejscu, jakim jest Babi Jar. Dodam, że Dmytro Poluchowycz wynalazł własny sposób opracowywania fotogramów, co czyni z nich w niezwykle i wielce artystyczne prace.

TARAS KOZŁOWSKI

– Wielokrotnie pytano mnie: „Dmytrze, czy nie miałeś żydowskich korzeni w rodzinie? Skąd to zainteresowanie judaiką? – przyznaje się krajoznawca. – Podkreślę – nie. Z linii matki wywodzę się z rodu kozaków, a po ojcu – z polskiej szlachty herbu „Nałęcz”. Co się tyczy mego zainteresowania spuścizną i kulturą żydowską... Po pierwsze – interesuję się wszystkimi bez wyjątku kulturami narodowymi, które stworzyły współczesne Podole – moją małą ojczyznę: ukraińską, polską, żydowską, ormiańską... nawet osmańską. Turcy również pozostawili swój ślad na naszych terenach. Co się tyczy nekropolii żydowskich, to te w Satanowie mają ogromną wartość estetyczną.

Z tym ostatnim trudno się nie zgodzić. Większość nagrobków od początków XVIII do końca XIX wieków są bez przesady arcydziełami sztuki. Mamy niezwykle bogactwo renesansowych i barokowych wzorów. Podobne można zobaczyć na świątyniach rzymskokatolickich i obrządków wschodnich z tego okresu. Podobnie dekorowane są też pałace, zamki i kamienice na Podolu. W Satanowie tego piękna jest nadzwyczaj dużo. Tu nawet Kamieniec nie jest w stanie z nami konkurować, wyprzedza nas jedynie chyba Lwów. Podkreślę – mowa tu o ilości. Zauważę, że w samym Jazłowcu są dzieła, przy których blakną nawet te najlepszych mistrzów z Satanowa.

Nie ma tu nic dziwnego, że artyści z różnych narodów i wiary wykorzystywali w swych pracach te same praktycznie elementy zdobnicze i wzorce. Czerpali je ze wspólnego źródła – europejskiej kultury żydowskiej. Przykładem może tu służyć bestiariusz – przedstawianie różnych zwierząt i ptaków, zawierających głęboki sens filozoficzny, religijny i sakralny. Jest to nadzwyczaj interesujące i daje wiele do myślenia.

– Ważny i wymowny aspekt – zaznacza Dmytro, – od lat dwudziestych XIX w. widzimy gwałtowną degradację sztuki rzeźbiarstwa żydowskich. Zanika indywidualność. Artyści wykorzystują standardowe motywy. Płaskorzeźby tracą głębię, wizerunki stają się prymitywne i uproszczone. Często nagrobki odróżniają się od siebie jedynie



PRACA DMYTRA POLUCHOWYCZA NA PODSTAWIE ZDJĘCIA NAGROBKA CNOTLIWEJ DZIEWCZYNY SARY, CÓRKI RABINA MEJERA ZE LWOWA

treścią epitafiów. Natomiast, jeśli chodzi o wiek XVIII – to praktycznie trudno znaleźć dwa identyczne nagrobki. To zjawisko jest odzwierciedleniem procesu degradacji polskich miasteczek i zaczęło się od razu po przejęciu tych terenów przez Rosję.

Gdy w okresie I Rzeczypospolitej te miasta i miasteczka rozwijały się szybko, to pod władzą Petersburgu zaczyna się gospodarczy kolaps, wywołany ostrymi dyskryminacyjnymi prawami. Przypomnę, że w Imperium Rosyjskim Żydzi uważani byli za ludzi drugiego gatunku.

Początkowo Dmytro Poluchowycz tworzył swe prace jako ilustracje do wydań krajoznawczych. Potem zapragnął pokazać je szerzej. Tym bardziej, że ekspozycja jest nie tyle o cmentarzu, co o tradycyjnej sztuce ludowej i unikalnej kulturze żydowskich miasteczek Podola. Ta kultura została ostatecznie zniszczona przez hitlerowców podczas II wojny światowej. Jest to swego rodzaju requiem ofiarom Holokaustu i znikłej cywilizacji sztetli – żydowskich miasteczek.

Ideę wystawy poparła Zjednoczona Wspólnota Żydowska Ukrainy, a przede wszystkim jej dyrektor Witalij Kamoziń. W styczniu prace Dmytra Poluchowycza wystawiane były w największym muzeum żydowskim w Europie „Pamięć Narodu Żydowskiego i Holokaustu na Ukrainie” w mieście Dnipro. Cieszyła się tam wielkim

zainteresowaniem. Pod koniec kwietnia ekspozycja przeniosła się do Kijowa.

– Dla naszej wspólnoty ważne jest to, że w Narodowym Rezerwacie „Babi Jar” otwarta została wystawa, będąca swego rodzaju retrospektywą historii gmin żydowskich na Podolu – komentuje wydarzenie Witalij Kamoziń. – Opowiada ona w oryginalny sposób o historii gmin żydowskich i w efekcie przyciąga uwagę do kwestii Holokaustu, w wyniku którego kultura sztetli została całkowicie zniszczona.

Stary cmentarz żydowski w Satanowie – to nie tylko muzeum pod otwartym niebem, ale i swego rodzaju kronika historii wspólnoty żydowskiej Podola wryta w kamieniu. Są tu „zapisy”, które i dziś brzmią aktualnie. W dawnych czasach, gdy wróg podchodził do miasta, do jego obrony stawiali ramię w ramię przedstawiciele wszystkich narodowości. Na żydowskiej nekropolii mamy świadectwa tych walk: na jednym z nagrobków z XVII w. zaznaczono, że nieboszczyk zginął w walce u bram miasta podczas wojny z „tuharynami”. W starych kronikach żydowskim w taki sposób określano Tatarów i Turków. Dziś mamy prawie tę samą historię – przeciwko nowej nawałce moskiewskiej walczą wszyscy obywatele Ukrainy, niezależnie od narodowości czy religii.

Z oficjalnego otwarcia wystawy organizatorzy zrezygnowali, nadeszły bowiem informacje, że Rosja szykuje kolejny

zmasowany atak na Ukrainę. Biorąc pod uwagę znaczenie Babiego Jaru, oczekiwano co najmniej wizyty władz miasta, a byłby to wymarzony cel dla agresora. Ostrożność nie zawadzi. I dosłownie w godzinę po otwarciu ekspozycji na miasto spadł zmasowany atak, w którego wyniku zginęło 10 osób zginęło, w tym jedno dziecko. Z powodu alarmu z opóźnieniem przyszli również pierwsi zwiedzający. Była to szczególna grupa – przedstawiciele rodzin żołnierzy pułku „Azow” – obrońców Mariupola i żołnierze tego pułku.

– Znam Dmytra już od dziesięciu lat – mówi Natalia Krawcowa, jedna z aktywistek rodzin „azowców”. Jej syn do ostatniego bronił Mariupola i dostał się do niewoli dopiero po rozkazie dowództwa. W niewoli jest do dziś. – W listopadzie 2022 r. na zaproszenie gminy Gródka Podolskiego wraz z rodzinami „azowców” gościliśmy u niego na Podolu. Mieliśmy spotkania z mieszkańcami miasta, uczniami, wolontariuszami. Przyjmowali nas na tyle ciepło i serdecznie, że wiele matek, których synowie zginęli lub dostali się do niewoli, po raz pierwszy zaczęły się uśmiechać. Mieliśmy wycieczkę po Satanowie. Niestety w listopadzie szybko robi się ciemno i nie mogliśmy odwiedzić satanowskiej nekropolii żydowskiej. Gdy Dmytro obiecał nam nadrobić to wszystko tu, w Kijowie, chcieliśmy, rzecz jasna,

zobaczyć to piękno. Sama wystawa jest bardzo interesująca i nawet symboliczna. Przez pryzmat wojny wiele rzeczy odbiera się o wiele ostrzej.

Analogię pomiędzy dniem dzisiejszym a przeszłością zobaczył również żołnierz „Azowu”, jeden z obrońców Mariupola, Władysław Żajworonek. W czasie obrony „Azowu” stracił nogę. Zoperowano go w bunkrze kombinatu nocą na 16 maja. Za kilka godzin obrońcy kombinatu dostali rozkaz poddania się i znaleźli się w niewoli. W czerwcu tegoż roku Żajworonek podczas wymiany jeńców wrócił do domu. Dziś wraz z członkami rodzin „azowców” walczy o powrót towarzyszy broni z niewoli. Rosjanie bardzo niechętnie oddają „azowców”, a jego powrót do domu jest raczej wyjątkiem – w niewoli nie chciano zwracać sobie głowy ciężko rannym jeńcem.

Żajworonek przyszedł na wystawę w Jarmulce, co wyjaśnił tak:

– Babi Jar – to ogromny wspólny cmentarz. Tu, gdzie się nie ruszysz – wszędzie ludzkie szczątki – mówi żołnierz. – Wiadomo, że hitlerowcy, chcąc ukryć skalę swoich mordów, zaczęli później ekshumować ciała i palić je, a popiół rozsypywano po terenie Babiego Jaru. Oprócz tego wystawa opowiada też cmentarzu. Jarmulka więc, to dań szacunku dla zmarłych i żydowskiej cywilizacji.

I dalej o samej wystawie dodał:

– Dziś tu, w Babim Jarze, wiele mówi się o zniszczonej przez hitlerowców wybitnej i interesującej kulturze żydowskich sztetli na Ukrainie. Hitlerowcy celowo niszczyli przedstawicieli tego narodu, jak i wszystko, co było z nim powiązane. Najstraszniejsze – to było celowe zniszczenie ludności, jako nosicieli pewnej kultury, obyczajów, tradycji... Ukryte w ornamentyce nagrobków symbole, którym poświęcona jest ta wystawa, tak wiele o nich mówi... Przed Holokaustem była to otwarta księga. Natomiast dziś wielu przedstawicieli ludności żydowskiej nawet nie domyśla się ich ukrytego sensu.

Dziś podobną sytuację mamy na Ukrainie. Na terenach okupowanych napaściny celowo niszczą ludność ukraińską, jako nosicieli ukraińskiej tożsamości i wszystko, co związane jest z Ukrainą. Obecnie nasze muzea i zabytki są celem nr 1 dla Rosji. Niszcząc wszystko, Rosja stara się pozbawić nas korzeni historycznych. Główny cel wroga, jak i hitlerowców – zniszczyć cały naród. Ukraina ma historię wielką, dawną i wielonarodową. Lubimy i szanujemy swoją kulturę. Lubimy i szanujemy kulturę innych narodowości, razem tworzących wspólną kulturę Ukrainy... Przykładem tego jest ta wystawa – podsumował żołnierz „Azowu” Władysław Żajworonek.

Dyrektor Narodowego Rezerwatu Historycznego „Babi Jar” Roza Tapanowa w taki sposób oceniła wystawę:

– Partnerska wystawa „Satanów – zagubiony świat starego cmentarza żydowskiego” jest już piątą wystawą naszej instytucji w czasie tej wojny. Takie wystawy są dla nas ważne dla zrozumienia kultury i życia Żydów na Ukrainie przed II wojną światową. Jednym z niewielu elementów, świadczących o tym okresie są cmentarze. Ich badania i zachowanie – jest częścią naszej pamięci jako kultury Ukrainy w całości. Nasze projekty starają się odnawiać „żywą pamięć” o tragedii w przeszłości, żeby Babi Jar nie był jedynie miejscem zbrodni, ale miejscem, gdzie mówi się o życiu – podsumowała Roza.

Wystawa w Kijowie będzie ekspozowana do 21 kwietnia, a potem przeniesie się do Odessy.



DMYTRIO POLUCHOWYCZ

ARCHIWUM REZERWATU HISTORYCZNEGO „BABI JAR”

Młyny i piekarnie. Doms-Thom-Czudżak

Przedstawiamy opowieść o działalności piekarzy lwowskich – zarówno mistrzów cechowych, jak i partaczy. Wypiek chleba od starożytności był i pozostaje niezmiennie jedną z najważniejszych działalności człowieka. Wspaniały i dokładny opis cechów piekarzy, istniejących we Lwowie według zapisów kronikarskich od 1425 r. pozostawiła nam wybitna historyk Lwowa Łucja Charewiczowa w swej fundamentalnej pracy „Lwowskie Organizacje Zawodowe za czasów Polski przedrozbiorowej” (1929). Dokonać opisu wszystkich piekarzy jest niemożliwie przez ich ilość. W XV w. i kolejnych wiekach ilość członków cechu piekarzy nie przewyższała 20. W II połowie XIX w. – było ich już 24, a w pierwszych latach XX w. – 40. Przed I wojną światową we Lwowie działało już około 80 piekarni, w tym kilka wielkich przedsiębiorstw piekarskich. O nich to będzie mowa...

IRYNA KOTŁOBUŁATOWA

Jednym z pierwszych znaczących galicyjskich przedsiębiorców w różnych dziedzinach był Robert Doms (1816-1893). Wyzначył on swego rodzaju standard przedsiębiorczości i wyjątkowego sukcesu w kilku, nawet nie bliskich do siebie dziedzinach. Doms był znany nie tylko z produkcji piwa – była to tylko jedna z dziedzin jego działalności.

Robert Doms pochodził z rodziny kupieckiej z miejscowości Racibórz na Śląsku. Po opuszczeniu rodzinnych stron około połowy XIX w. rozpoczął on swą intensywną działalność we Lwowie, jako właściciel fabryki wódek i rosolisów, zarejestrowanej na Zniesieniu w 1841 r. Z czasem założył pierwszy młyn parowy i piekarnię na Zamarstynowie (1857). Czym by się Doms nie zajmował, zawsze czynił to dokładnie i dobrze. Wkrótce piekarnia Domsa stała się najlepszą w mieście, a dzięki temu znanemu przedsiębiorstwu, ulica przy której leżała została nazwana Młynarską (w okresie międzywojennym – Hermana, ob. Łemkowska). Produkcja młynarska i chleb z piekarni Domsa wstąpiły się nie tylko we Lwowie, ale i poza granicami miasta. Dodatkowym efektem jakości i ilości produkcji piekarni Domsa stało się oburzenie i niezadowolenie licznych drobniejszych piekarzy Lwowa i szkwał ich skarg do Rady miasta z oskarżeniami o monopolizację przemysłu.

Jednak Doms nie poprzestał na osiągnięciach. Uważnie śledził rozwój przemysłu, jego tendencje, powstawanie nowych dziedzin, które zjawiały pod koniec XIX w. Stopniowo interesy przedsiębiorcy coraz bardziej koncentrowały się na przemyśle wydobywczym: ozokeryt w Borysławiu, nowe złoża ropy i gazu, odkrywane z szaloną szybkością. Młyn, piekarnia, własny dom przy ul. Młynarskiej 3 i zabudowanie robotnicze w 1886 r. zostały sprzedane baronowi Sewerynowi Brunickiemu (1846-1902), właścicielowi młyna w Zaleszczykach. Pod koniec życia Robert Doms zbudował przytułek dla artystów, literatów i zbankrutowanych kupców i przemysłowców z własnej fundacji (1885).



KAROL CZUDŻAK

Dawny młyn Domsa uzyskał drugie życie pod nazwą „Parowy młyn Maria Helena S. barona Brunickiego i Sp. we Lwowie”. Było to zyskowne przedsiębiorstwo, przynoszące razem z piekarnią spory dochód. W centrum miasta usytuowano liczne firmowe kioski, gdzie zawsze można było kupić świeże pieczywo z piekarni „Maria Helena”.

W 1902 r. Baron Brunicki umiera i tymczasowym zarządcą na czas likwidacji przedsiębiorstwa i poszukiwania nowych właścicieli został Jan Makuch. W 1904 r. młyn i piekarnię wykupił Józef Joel Phillips, który w celu przeniesienia się do Lwowa szybko sprzedał swoją „Młynarską Spółkę pierwszego podolskiego młyna automatycznego w Mikulińcach Józefa Philippa i Synów” w obwodzie Tarnopolskim. Takim to sposobem Józef Phillip i jego synowie Jakób i Markus zostali właścicielami przedsiębiorstwa z dobrą reputacją. Nowa firma pracowała pod szyldem „Parowy Młyn Maria Helena. Józef Phillip i Synowie we Lwowie” przy ul. Hermana 3. Przedsiębiorstwo istniało do II wojny światowej, a po wojnie – pod nazwą „Melzawod Nr2” trestu „Gławmuka” przy ul. Łemkowskiej 9. Obecnie mieści się tu Lwowska obwodowa inspekcja zbożowa.

Warto tu też wspomnieć o jeszcze jednym, nieistniejącym, a niegdyś znanym przedsiębiorstwie. W 1861 r. przedsiębiorca Józef Thom wybudował na przedmieściu Janowskim młyn parowy, w działalności którego wykorzystywane były miejscowe zasoby wodne. Na Wystawie Rolniczo-Przemysłowej w 1877 r. w grupie Nr 19 przedstawiono wyroby młynarskie i piekarni parowej „Józef Thom i Syn” w nawiasie było zaznaczone – Leo Thom. Oznaczało to, że właścicielem młyna był syn Józefa Leon (1840-1908). Był on wieloletnim radnym miasta Lwowa, radcą Izby przemysłowo-handlowej, jednym z pierwszych żydowskich przedsiębiorców, odznaczonych rządowymi nagrodami austriackimi. Na wystawie eksponowano wyroby z mąki pszenicznej i żytniej, krupy pszenne drobno i grubo mielone, żytnie drobno mielone oraz różne gatunki chleba z własnej piekarni.

Powszechna Wystawa Krajowa z 1894 r. nie wykazała znacznego wzrostu gatunków chleba, krup i mąki najwyższej jakości. Przedsiębiorstwo istniało przez trzy dziesięciolecia. Całkowitym właścicielem firmy „Józef



HALA WYPIEKU CHLEBA

Thom i Syn, parowy młyn i parowa piekarnia” przy ul. Janowskiej, 52 był Leon Thom. Przedsiębiorstwo rozwijało się i w 1894 r. pracowało tu 125 robotników. Młyn poruszał silnik parowy o mocy 300 koni. Produkcja przedsiębiorstwa zasłużyła nagrody i dyplomy na różnych wystawach: w 1877 we Lwowie, w 1886 w Czerniowcach, w 1890 we Wiedniu; srebrne medale na wystawach w Paryżu w 1878 r. i Krakowie w 1887 r.; złote – w Trieście w 1882 r. i Brukseli w 1888 r. Na początku XX w. wybudowano nowe współczesne zabudowania firmy, zaprojektowane i wybudowane przez firmę Alfreda Zacharewicza i Józefa Sosnowskiego.

W 1908 r. Leon Thom zmarł. Przedsiębiorstwo rozdzielono pomiędzy czwórkę jego dzieci, ale sprawę zarządzania młynem i piekarnią doręczono jednemu z synów – Maksymilianowi Thomowi, który faktycznie kierował przedsiębiorstwem od 1895 r. Do masy spadkowej doszła też gorzelnia w miejscowości Żełdec (ob. rejon Kamionki Buskiej). Zakład funkcjonował do wybuchu II wojny światowej, gdy został zniszczony w bombardowaniu.

W 1946 r. na tym miejscu przy ul. Szewczenki 60 założono Lwowską fabrykę szkła. Pierwsza produkcja fabryki ukazała się po dwóch latach. Z czasem produkcja została modernizowana i rozpoczęto produkcję szkła hartowanego dla przemysłu samochodowego: Lwowskiej fabryki autobusów, Mińskiej fabryki traktorów, Lwowskiej fabryki ładowarek, dźwigów z Drohobycza, lwowskich kucharek gazowych i Lwowskiej fabryki „Kineskop”.

W czerwcu 1994 r., zgodnie z danymi ukraińskiej korporacji przemysłu budowlanego, pracowało w fabryce około 1,5 tys. osób. W latach transformacji ustrojowej powstało tu Towarzystwo Akcjonariuszy, a produkcję zmieszano, aż w 2005 r. teren fabryki sprzedano firmie budowlanej „Patriacom”. Dziś na tym miejscu wybudowano osiedle mieszkalne. Z dawnych czasów zachował się budynek Thomów, ale i ten został przebudowany.

Oprócz tych dwóch wielkich przedsiębiorstw spożywczych we Lwowie

tradycyjnie działało wiele mniejszych lokalnych piekarni. Możemy sobie tylko wyobrazić różnorodność chleba i poranny aromat świeżo pieczonego pieczywa. Zresztą była tak i dziś.

Początek XX w. charakteryzował się budową z wielkim rozmachem nowego, nowoczesniejszego wyposażonego, wspaniałego przedsiębiorstwa piekarskiego, któremu w regionie nie było konkurencji. W 1907 r. w Białochozycy zakupiono działki i już w następnym roku przy ul. Lewandówka 2 (ob. Gródecka 168), o ponad kilometr od rogatki gródeckiej, rozpoczęto wznosić kompleks piekarni „Mercury”. W 1909 r. piekarnię uruchomiono. Założycielami przedsiębiorstwa i współwłaścicielami byli Karol Czudżak, Stanisław Kleczyński i Kazimierz Kielbusiewicz. Dalej opowiem o nich dokładniej. Na początek o „Mercurym”.

Do planowania, budowy i dekoracji kompleksu powołano najbardziej znanych wówczas architektów – takim perfekcyjnym charakteryzował się i sam Karol Czudżak. Piekarnię wybudowano według projektu architekta Alfreda Zacharewicza. Usytuowano ją w oddaleniu od drogi i odgródzono od przebiegającej tu linii kolejowej 800 metrowym murem. Na kompleks piekarni składały się: budynek główny piekarni, budynek administracyjny, budynek mieszkalny dla służby i pracowników, pomieszczenie gospodarcze – stajnie, garaże i magazyny, do których doprowadzono tory z dworca. Według zamysłu właścicieli fabrykę wyposażono według najnowszych trendów przemysłowego wypieku chleba. Przez wiele lat piekarnia „Mercury” była największym i najpotężniejszym zakładem spożywczym na Galicji, a z czasem jedną z największych półmechanicznych piekarni w Polsce. Nie zważając na automatyzację wielu procesów, pracowało tu 120 pracowników.

Główna hala była idealnie czystą 75 metrową halą wypieków, gdzie niemożliwym był znalezienie brudu i prochu od pracujących tu pieców. W ścianie zewnętrznej były olbrzymie okna, a przy wewnętrznej – piece. Chleb wypiekano w czterech piecach systemu formowego Werner-Pfleiderer

i dziewięciu systemu kanałowego Bayer, ogrzewanych węglem. Na ten czas były to najbardziej znane niemieckie firmy, produkujące piece wypiekowe. Firma Werner-Pfleiderer pracuje według tej technologii do dziś. Ponad piecami umieszczono 18 wielkich płaskorzeźb z patynowanego gipsu na temat „Historii chleba”. Na bocznej ścianie była wielopostaciowa spiszowa kompozycja „Pax” (Pokój), na której przedstawieni byli politycy i działacze kultury, działający w ówczesnym Lwowie. Prace te uważane są za najlepsze dzieła początkującego, a z czasem znanego rzeźbiarza, Zygmunta Kurczyńskiego. Stworzył on te dzieła na początku swej kariery, po powrocie do Lwowa po studiach w Krakowie i Paryżu u Augusta Rodena.

Za halą pieców mieściła się hala rozczynów, przygotowania ciasta (ciasto mieszano ręcznie), ważenia i dzielenia ciasta i formowania bochenków. Mąka dostarczana była do maszyn mieszających z rur, przeprowadzonych pod stropem. Rury te łączyły się z leżącym na górnym piętrze magazynem mąki.

W magazynie sita do przesiewania i mieszania mąki zdolne były przerobić 45 tys. kg mąki na dobę. Na jeden wypiek wykorzystywano 1,5 wagonu mąki, z czego wypiekano 60 tys. bochenków. Firma od początku postawiła sobie wysokie parametry: „Mercury” zabezpieczał chlebem nie tylko miasto Lwów – 30% produkcji rozwożono po innych okolicznych miastach. Lwów był podzielony na 14 rejonów, które obsługiwało 14 wozów konnych i 2 samochody, w stajni zawsze utrzymywano 28 koni, gotowych do wyjazdu.

Przed halą wypieków było pomieszczenie szatni i łazienki dla personelu z basenem i prysznicami. Teren hal otaczał park, obsadzony krzakami róż – nie tylko dla piękna. Przy fabryce działała również hala cukiernicza, gdzie wykorzystywano tradycyjne dla Lwowa różane konfitury.

W okresie po 1921 r. gdy nastąpiły zmiany w działalności przedsiębiorstw przemysłowych i ich reorganizacja, „Mercury”, jako jedna z pierwszych firm założyła Spółkę Akcyjną „Zakłady Przemysłowe „Mercury” we Lwowie”, do której weszły takie przedsiębiorstwa i organizacje, jak: Towarzystwo Gospodarcze, SA Bank Właścicieli Ziemi, SA Bank Rolniczy, piekarnia „Mercury” oraz K. Czudżak i s-ka. Statut nowej Spółki Akcyjnej określał zakres jej działalności – zakładanie, kupno i organizacja piekarni, młynów, fabryk przetwórstwa owoców i fabryk produkcji karmy dla zwierząt, prowadzenie dowolnej działalności – pomocniczej i handlowej z tym związanej. Kapitał zakładowy Spółki wynosił 40 mln. złotych.

Przez cały okres międzywojenny Zakłady Przemysłowe „Mercury” były monopolistą na rynku piekarskim i pewnie trzymały palmę pierwszeństwa. Niestety, nie znamy ówczesnego asortymentu przedsiębiorstwa, możemy jedynie domyślać się o różnorodności produkcji.

W 1940 r. zakład znacjonalizowano, ale nie zamknięto. Działał on jako „Piekarnia im. Woroszyłowa”. Nie wstrzymał produkcji i za okupacji niemieckiej, a po wojnie utrzymał swoją nazwę z 1940 roku. Potem został zreorganizowany w „Piekarnię Gławcheba Nr1”. Po kolejnych reorganizacjach w latach 1950-1980, działa dziś jako Piekarnia Nr 1 Prywatnego Towarzystwa Akcyjnego „Koncernu „Clebprom”.

Po 90 latach ciągłej działalności w 1996 r. piekarnia została zrekonstruowana i zmodernizowana, co pozwoliło dwukrotnie zwiększyć jej produkcję. Dziś zakład obchodzi swoje 115-lecie.

(cdn.)



WIDOK NA FABRYKĘ W STANIE BUDOWY OD STRONY KOLEI

Pierwsze polskie pocztówki (cz. 1)

Pocztówki, o których będzie mowa, nie należą do wzorców filokartystyki. Są czarno-białe, mają okropne wykonanie drukarskie, rozmyte są po kątach. Obiekty, które przedstawiają, są dość znane. Tym nie mniej wśród hobbystów ta seria zajmuje miejsce szczególne, są to bowiem pierwsze pocztówki ze Stanisławowa z okresu międzywojennego.

IWAN BONDAREW

Zagadkowy H.K.

Filokartyści to szczególnie zbieracze pocztówek, którzy dzielą swe kolekcje na okres austriacki i polski. Zarówno pierwszy jak i drugi trwały mniej więcej tyle samo – po około dwudzieścia lat. Proporcjonalnie w okresie austriackim wydrukowano ich około 90%. Te pocztówki wyróżniają się wysokim wykonaniem poligraficznym, są wspaniałe i przedstawiają interesujące widoki.

Polskie znacznie im ustępują. Przez ten dwudziestoletni okres nie wydano żadnej kolorowej serii, a i liczbą nakładów okres polski nie się wyróżniał. Dziś kolekcjonerzy zebrali około 120 międzywojennych pocztówek, tymczasem gdy z okresu austriackiego jest ich ponad tysiąc.

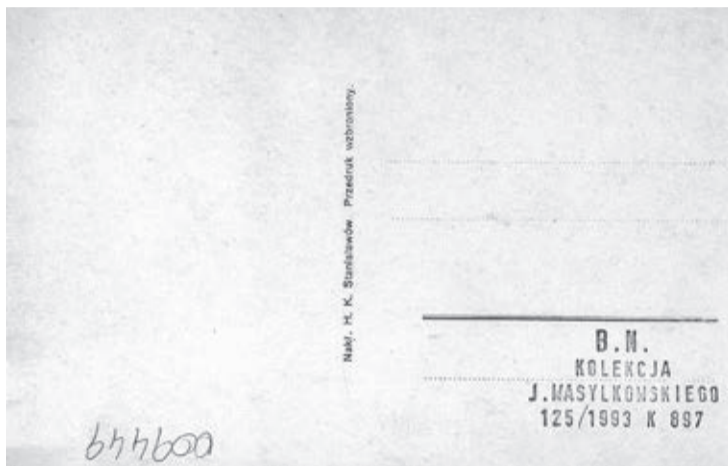
Polska wróciła do Stanisławowa 25 maja 1919 r. po powstaniu miejscowego podziemia i ewakuacji rządu ZURL. Nowe władze miały dość problemów – miasto po I wojnie światowej leżało w gruzach. Było nie do widokówek.

Jednak wszystko kiedyś się kończy i zjawiała się potrzeba w nowych pocztówkach. Dokładna data emisji pierwszej serii nie jest znana, ale znawcy twierdzą, że jest to pierwsza połowa lat 1920. Każda władza stara się podkreślić swe osiągnięcia, ale te pocztówki przedstawiają obiekty z minionych okresów. Do połowy lat 1920. w Rzeczypospolitej szalał wielki kryzys ekonomiczny. Nowych budowli w Stanisławowie nie wznoszono, więc nie było czym się chwalić. Ponadto większość pocztówek przeszła przez pocztę w latach 1920.

Z wydawcą też nie wszystko jest jasne. Na odwrocie emisja jest podpisana: „Nakładem H. K.



POCZTÓWKA NR 18. UL. GRUNWALDZKA



FILOKARTYŚCI DOTYCHCZAS NIE OKREŚLILI, KTO UKRYWA SIĘ ZA LITERAMI H.K.

Stanisławów. Przedruk zabroniony". Kto ukrywa się za tymi inicjałami, hobbysty i badacze wyjaśnić się nie udało. Żaden z austriackich wydawców pod te inicjały nie podpada.

Jest jeszcze jedna rzecz niewyjaśniona – dlaczego seria rozpoczyna się od Nr 18. Logicznie byłoby od Nr 1. Kolekcjoner Zenonij Żerebecki wysunął interesującą hipotezę – w przededniu I wojny światowej właściciel księgarni Roman Jasielski wydał serię pocztówek z widokami Stanisławowa. Liczyła ona 17 widoków. Prawdopodobnie następny wydawca zechciał kontynuować serię i zaczął emisję od Nr 18. Żerebecki również twierdzi, że w przedwojennym Stanisławowie istniało wydawnictwo niejakiego S. Klampfera, więc nie wykluczone, że już w wolnej Polsce jego syn kontynuował dzieło ojca.

Wszystkie pocztówki mają wspólną cechę – na froncie widoczny jest podpis, wykonany białą farbą, prawie odręcznie. Seria ta ma też ciągłą numerację, co ułatwia zadania kolekcjonerów.

Młodość ulicy Grunwaldzkiej

Pierwsza z tych 18 pocztówek podpisana jest „Stanisławów. Dyrekcja kolei”. Przedstawiona jest na niej trzypiętrowa kamienica, wybudowana w 1914 r., gdzie ta instytucja się mieściła.

W 1935 r. została zlikwidowana i do tego wspaniałego gmachu przeniósł się Urząd wojewódzki, po którym w latach po II wojnie światowej ulokował się Obwodowy wydział partii.

Powiedzieć, że ul. Grunwaldzka jest zaniedbana, to nie powiedzieć nic. Na pierwszym planie widoczne są jakieś ogrody, ogrodzone krzywymi sztachetami. Przed Dyrekcją leżą zwaliny śmieci budowlanych – widocznie kolejowcy zabrali się do porządkowania terenu.

Za gmachem administracyjnym widoczna jest kamienica mieszkalna dla kolejowców, dalej ciągnęły się jakieś budy. Naprzeciwko kolejny ogród, gdzie przed II wojną światową wyróżnie blok dla wojskowych (Grunwaldzka 15).

W ogrodzie widoczna jest duża willa. Dziś w tym miejscu stoi współczesny pięciopiętrowy blok przy ul. Tolstoja 3. Zdjęcie przedstawia jednak elementy, pozwalające określić jego chronologiczne granice. Po prawej od willi na pocztówce jest puste miejsce. Dziś mieści się tu Klub kolejarzy, zaś kamienica została oddana do użytku w 1926 r. jako gmach Kolejowych związków zawodowych. Jeżeli przypuścimy, że ten gmach budowano co najmniej przez rok – to zdjęcie wykonano najpóźniej w 1925 r.



POCZTÓWKA NR 19. UL. PIOTRA SKARGI

Gmach z plamą

Kolejna pocztówka – Nr 19 – posiada znak charakterystyczny. Resztę pocztówek podpisano białym kolorem. Ta jedyna posiada podpis w kolorze czarnym. Wyjaśnienie jest proste – dół zdjęcia jest jasny i biały napis byłby na nim niewidoczny.

Piotr Skarga był jezuitą, nadwornym kaznodzieją króla Zygmunta III, rektorem Uniwersytetu Wileńskiego, „ojcem chrzestnym” Unii Brzeskiej. Na jego cześć w 1912 r. nazwano wcześniejszą ulicę Zabłotowską. Nie ma w tym nic dziwnego, była to bowiem główna ulica wioski, na której terenach wyrósł Stanisławów. Dziś jest to początek ulicy Bazylianek, a na pierwszym planie widzimy kamienicę pod Nr 3. Jej fasadę dekoruje sztyl „Apteka”, pomiędzy oknami na piętrze zamocowane są gwiazdy z licznymi promieniami. Nie ma w tym nic dziwnego, bowiem apteka nosiła nazwę „Pod gwiazdą” i działała od 1903 r. Dziś jest to najstarszy zakład farmaceutyczny w mieście.

Do gmachu z apteką przylega wspaniała austriacka kamienica, wybudowana w 1911 r. Na jej ścianie bocznej widzimy olbrzymią białą plamę, przypominającą talerz anteny satelitarnej. Możemy jedynie przypuścić, że jest to skaza negatywu, bo na austriackich pocztówkach tej kamienicy podobnej plamy nie ma.

Wydeptane trawniki

Kolejna pocztówka przedstawia skrzyżowanie ulic Szopena i Wałowej. Mimo woli zjawia się pytanie, dlaczego wydawca przedstawił widoki okolic peryferyjnych, ignorując centrum. Może dlatego, że okolice dzisiejszego deptaku – słynna linia A-B, Rynek i przyległe uliczki były po wojnie zrujnowane przez ostrzał artyleryjski i nie odpowiadały standardom

fotogeniczności. Aby nie przedstawiać ruin, fotograf obrał dzielnicę, których nie dotknęła wojna.

Pocztówka podpisana jest jako „Szkoła Hoffmanowej”. W 1904 r. magistrat wybudował nową siedzibę szkoły żeńskiej – trzeciej w mieście. Nosiła ona nazwę Klementyny Hoffmanowej – polskiej pisarki z pierwszej połowy XIX w., piszącej opowiadania dla dzieci. Choć ta szkoła nie była największa w mieście, uczyło się tu około 700 dziewcząt.

Podczas I wojny światowej szkołę wykorzystywano jako szpital wojskowy. Po wojnie gmach odnowiono i umieszczono w nim szkołę siedmioklasową (przedtem kurs nauki obejmował cztery lata).

Pocztówka przedstawia też okres kryzysu finansowego – w czasach austriackich skwer Wału z licznymi klombami był popularnym miejscem rekreacyjnym. Na pocztówce nie widzimy żadnych kwiatów – jedynie wydeptane trawniki. Na drzewach jest pełno liści, więc jest to ciepła pora roku. Widocznie do spraw upiększenia miasta Magistrat jeszcze nie miał głowy.

Kamienica pana Leona

Numer tej pocztówki jest niewyraźny, ale przy dobrych chęciach możemy odczytać liczbę „21”. Jest to ulica 3 Maja, dzisiejsza Hruszewskiego. Chodnikiem idzie kobieta, ubrana według mody lat dwudziestych. Od strony wałów widać coś niewyraźnego – ni to klomb, ni to kupa gnoju. Jakość pocztówki nie pozwala na dokładne rozeznanie.

Fotograf specjalnie obrał nieparzystą stronę ulicy, która była bardziej monumentalna. Naprzeciwko stały zaniedbane parterowe chaty z połowy XIX w., które mogły beznadziejnie zepsuć ujęcie.

Potężna kamienica na pierwszym planie należała do zamożnej rodziny żydowskiej Waingartenów. Bracia byli właścicielami cegielni, mieli własne biuro budowlane – więc i pieniędzy mieli w bród. Gmach na zdjęciu wystawiono w 1906 r. i należał on do Leona Waingartena. Rzecz jasna, był on dla jego rodziny za duży, więc resztę mieszkań wynajmowano lokatorom.

Dziś na tej ulicy prawie nic się nie zmieniło – jedynie zaasfaltowano jezdnię.



POCZTÓWKA NR 21. UL. 3 MAJA



POCZTÓWKA NR 20. SZKOŁA HOFFMANOWEJ

(cdn.)

Kardynał Marian Franciszek Jaworski a władze państwowe (1991–2008) (cz. 3)

W 2000 roku w katedrze lwowskiej był obchodzony jubileusz 50-lecia święceń kapłańskich abpa Mariana Jaworskiego. Była to doskonała okazja, by wyrazić szacunek wobec lwowskiego metropolity ze strony władz państwowych. Do katedry na świętowanie przybył deputowany Verchownej Rady Ukrainy Igor Nasatyk wraz z przedstawicielami „Technocentru” z Rohatyna, zastępca lwowskiej obwodowej rady Igor Derżko, który odczytał list gratulacyjny od przewodniczącego lwowskiej obwodowej rady Stepana Senczuka oraz mer miasta Lwowa Wasyl Kujbida. Wydział ds. religii ze lwowskiej obwodowej rady reprezentował Stefan Borucki oraz Jurij Reszetyło.

MARIAN SKOWYRA

Z państwowego komitetu Ukrainy w sprawach religii w Kijowie został wysłany list z życzeniami, podpisany przez jego przewodniczącego Wiktora Bondarenko, a z lwowskiej wojewódzkiej administracji słowa gratulacji przesłał Stepan Senczuk, jej przewodniczący.

W czasie homilii abp zwrócił się ze słowem powitania do przybyłych do katedry przedstawicieli władz: „Pragnę jeszcze raz wypowiedzieć to, co mówiłem w Kijowie na obchodach 2000-lecia chrześcijaństwa. Człowiek jest drogą Kościoła. Chcemy służyć każdemu człowiekowi na tej ziemi przez pełnienie misji nam zleconej: idźcie i nauczajcie. Wraz z innymi Kościołami chcemy budować jedność i pokój – nie ma Greka ani Żyda, bowiem w Chrystusie jesteśmy jedno”.

Po otrzymaniu biretu kardynalskiego kard. Marian Jaworski wraz z drugim kardynałem Lwowa Lubomirem Huzarem 6 kwietnia 2001 roku został przyjęty w Kijowie przez prezydenta Ukrainy Leonida Kucznię, z którym omawiano przebieg przygotowań do wizyty apostolskiej papieża Jana Pawła II w Kijowie i Lwowie. Tutaj właśnie kardynał Marian Jaworski zaproponował, aby papież mógł w Kijowie spotkać się z przedstawicielami wszystkich religii i wyznań



ODZNACZENI ORDERAMI WRAZ Z PREZYDENTEM UKRAINY LEONODEM KUCZMĄ, 23.08.2004

chrześcijańskich, co w pierwotnej formie wydawało się niemożliwym do zrealizowania, o czym mówił w wywiadzie z 2010 roku: „Na samym początku poinformowałem organizatorów, że podczas takich wizyt Ojciec Święty spotyka się z przedstawicielami innych religii. A jak tutaj zrobimy – zapytałem? Czy macie Radę Kościołów? Macie – to niech Rada Kościołów zaprosi papieża na przyjazd na Ukrainę. I tak się też stało. Rada przyjęła to z pewną niechęcią, ale nie mogła odmówić wizyty Apostolskiej papieżowi i dołożyła starań, by uroczystości przebiegły spokojnie. Trzeba było mieć dużo cierpliwości i umieć rozmawiać, szczególnie gdy ustalano szczegółowy program i kiedy włączono również, pierwotnie nieprzewidziany, krótki przystanek przy Domu Arcybiskupów, który ciągle jeszcze był użytkowany przez Ukraiński Instytut Metrologii i Geodezji”.

Po ogłoszeniu nominacji kardynalskiej urzędowy telegram został wysłany do kardynała Jaworskiego od prezydenta Ukrainy Leonida Kuczmy, który napisał: „Z przyjemnością

przyjąłem wiadomość o ogłoszeniu Waszej Eminencji kardynałem. Wysoka ocena Stolicy Apostolskiej pasterskiej działalności kardynała jeszcze raz zaświadcza jej owocność i ważność”. Odmienne niż podczas arcybiskupiego ingresu w 1991 roku, w 2001 roku do katedry przybył zastępca gubernatora lwowskiego Wołodymyr Herycz, który odczytał list przewodniczącego lwowskiej obwodowej państwowej administracji Stepana Senczuka.

Wiele też cierpliwości i wyrozumiałości musiał wykazać kardynał Jaworski w rozmowach z władzami obwodu i miasta Lwowa na temat przebiegu papieskiej wizyty do Lwowa, którzy nie mając doświadczenia w takich przygotowaniach, nie bardzo wiedzieli, jak ma przebiegać taka wizyta. Jeszcze jako arcybiskup 11 stycznia 2001 roku wraz z delegacją z Watykanu uczestniczył w rozmowach z władzami Lwowa oraz odwiedził miejsca pobytu papieża Jana Pawła II, a następnie 18 stycznia, 26 stycznia i 21 czerwca 2001 roku w urzędzie obwodowym brał czynny udział w spotkaniu



ORDER JAROSŁAWA MĄDRĘGO PRYZNANY W 2004 ROKU KARD. JAWORSKIEMU

organizacyjnym przygotowaniach pielgrzymki Ojca Świętego Jana Pawła II, a 9 czerwca 2001 roku we Lwowie spotkał się z ministrem spraw zagranicznych Ukrainy Anatolijem Zlenką, przewodniczącym komitetu przygotowawczego wizytę papieża Jana Pawła II na Ukrainie.

Kardynał Marian Jaworski w ramach przygotowania wiele czasu poświęcił na rozmowy z miejscowymi służbami SBU, którzy chcieli, aby w ramach zapewnienia bezpieczeństwa papieża Jana Pawła II, odgrodzić od ludzi całą drogę przejazdu papieża. Tutaj kardynał wyraził zdecydowany sprzeciw, informując, że papież przybywa do ludzi. Gdy wreszcie papież przybył do Kijowa, ulice pozostawały puste, gdyż władze odgrodziły drogę dla przechodniów, we Lwowie zaś ludzie spotykali papieża na całej trasie przejazdu. Lwowska wizyta papieża niczym nie odbiegała o tych, które były organizowane w Polsce, czy też innych krajach. Papież mógł widzieć ludzi, zatrzymać się i udzielać błogosławieństwa. Po zakończonej pielgrzymce papieża do Lwowa władze przyznały słusność kardynałowi Jaworskiemu w jego uporze nadania możliwości ludziom zbliżenia się do papieża.



KRZEMIENIEC. Z PRZEDSTAWICIELAMI WŁADZ PAŃSTWOWYCH KARD. JAWORSKI UCZESTNICZY I POŚWIĘCA DWOREK JULIUSZA SŁOWACKIEGO, 20.09.2004

Już w trakcie wiekopomnej wizyty papieża do Lwowa władze państwowe zobowiązały się wobec samego papieża, że oddadzą Kościołowi rzymskokatolickiemu całość pałacu arcybiskupów lwowskich. O tym zobowiązaniu doskonale pamiętał kardynał i wszelkimi sposobami przy każdej nadarzającej się sytuacji przypominał to władzom.

We lwowskim Domu Kolejowym 22 stycznia 2002 roku kardynał uczestniczył w spotkaniu z ówczesnym kierownikiem kancelarii prezydenta Ukrainy Wołodymyrem Litwinem, którego 1 marca 2002 roku gościł w swoim domu przy ul. Samczuka we Lwowie. W sprawie zwrotu całości budynku, gdyż dotychczas oddano zaledwie 5 pokoi na drugim piętrze, kardynał 29 października 2002 roku rozmawiał ze lwowskim dyrektorem Instytutu Miar Jakości „Systema”. Wówczas to został ostatecznie zatwierdzony terminarz zwrotu poszczególnych pomieszczeń w dawnym Pałacu Arcybiskupów Lwowskich. W dniach 5 i 6 listopada kardynał po raz kolejny był w Kijowie, gdzie spotykał się z zastępcą prezydenta ds. zagranicznych Anatolijem Oreltem i omawiał sprawy zwrotu domu rezydencji arcybiskupów we Lwowie. Tego też dotyczyło spotkanie kardynała Jaworskiego i ministra kultury Ukrainy Jurija Bohuckiego, odbyte w Nuncjaturze Apostolskiej w Kijowie 6 listopada 2002 roku.

Sprawę zobowiązań władz wobec Kościoła, kardynał Jaworski przedstawił również prezydentowi Ukrainy Leonidowi Kuczniemu w czasie spotkania z Konferencją Episkopatu Ukrainy 17 grudnia 2002 roku. Była to też słusna okazja, aby jeszcze raz wyrazić podziękowanie władzom za możliwość pielgrzymowania do Ukrainy papieża Jana Pawła II. W tym dniu kardynał przeprowadził też rozmowy z przewodniczącym Kancelarii Prezydenta Wiktorem Medwedczukiem oraz złożył wizytę w gabinecie wicepremiera Ukrainy Mykoły Azarowa i przewodniczącego komitetu Ukrainy do spraw rozwoju technicznego i polityki żywności Leonidowi Szkolnikowi, od którego bezpośrednio zależało oddanie lwowskiego Domu Arcybiskupów.

Obok tych trudności we Lwowie i w obwodzie doszło do kolejnych nieprzewidzianych komplikacji, związanych z prowadzeniem duszpasterstwa w kościele św. Marii Magdaleny we Lwowie oraz oddaniem kościoła św. Wawrzyńca w Chyrowie, gdzie miejscowe władze starały się na wszelki sposób nie oddać świątyni. W kościele chyrowskim

ulokowano klub i siedzibę miejscowego kozactwa. W tych sprawach kardynał wielokrotnie podejmował rozmowy z wojewodą lwowskim Mychajłem Hładijem i wicewojewodami Wiktorem Heryczem i Igorem Derżką. Rozmawiał też 20 lutego 2002 roku we Lwowie ze zbuntowanym merem miasta Chyrowa, choć na tamtym etapie niewiele udało się uzyskać, a sprawa kościoła św. Marii Magdaleny trafiła do sądu.

Wreszcie kardynał Marian Jaworski uczestniczył 18 kwietnia 2002 roku w objęciu urzędu nowego mera miasta Lwowa Lubomira Buniaka oraz 29 maja 2002 roku przywitał osobiście nowego wojewodę lwowskiego Myrona Jankiwa.

W 2003 roku na obchody drugiej rocznicy wizyty Jana Pawła II na Ukrainę przybył kardynał Roger Etheagaray, który wraz z kardynałem Marianem Jaworskim i nuncjuszem apostolskim w Ukrainie 21 czerwca 2003 roku złożył wizytę prezydentowi Ukrainy Leonidowi Kuczynie. Następnie do Lwowa przybyli przedstawiciele władz państwowych w Kijowie, którzy uczestniczyli we mszy św. sprawowanej przez kardynała Rogera Etheagaraya i przedstawicieli Rzymskokatolickiego Episkopatu Ukrainy. Po skończonej mszy św. na frontonie katedry została poświęcona płaskorzeźba Jana Pawła II, a w rezydencji arcybiskupów lwowskich odbyło się spotkanie duchowieństwa z przedstawicielami władz na Ukrainie. Kardynał Jaworski omawiał 11 września 2003 roku w Kijowie najważniejsze sprawy z Dmytrem Tabacznikiem oraz wicepremierem Ukrainy Wiktorem Bondarenką.

Kardynał Marian Jaworski 15 stycznia 2003 roku we Lwowie uczestniczył w spotkaniu u wojewody Myrona Jankiwa, który złożył życzenia z okazji kolejnej rocznicy erygowania struktur Kościoła rzymskokatolickiego, a 13 czerwca 2003 roku w urzędzie obwodowym wraz z biskupami pomocniczymi złożył życzenia nowemu wojewodzie Aleksandrowi Sendedze.

W relacjach Kościół – państwo najbardziej produktywny w całej postudze kardynała Mariana Jaworskiego na stanowisku metropolity lwowskiego okazał się 2004 rok. W tym roku doszło do wielu ważnych spotkań, które normalizowały życie religijne na terenie archidiecezji lwowskiej. Oczywiście nie rozwiązały wszystkich trudności, jednak były świadectwem dobrej współpracy na tej płaszczyźnie.

Po skierowaniu 5 lutego 2004 roku listu do ministra Tabacznika i ministra Szkolnyka kardynał 13 marca 2004 roku został przyjęty w Kijowie w Kancelarii Prezydenta Ukrainy, gdzie odbył rozmowę z ministrem Dmytrem Tabacznikiem, wicepremierem Ukrainy Anatolijem Orelem i ministrem kultury i sztuki Ukrainy Jurijem Bohuckim. To spotkanie

zaowocowało tym, że 5 maja 2004 roku we Lwowie w Domu Arcybiskupów Lwowskich wicepremier rządu Ukrainy Dmytro Tabacznik i Leonid Szkolnyk wraz z kardynałem Marianem Jaworskim podpisali dokument przekazania kurii biskupiej na rzecz archidiecezji lwowskiej obrządku łacińskiego. Było to historyczne wydarzenie dla wspólnoty Kościoła łacińskiego, gdyż przez ten akt władze oddały pierwszy obiekt kościelny we Lwowie, zabrany po 1946 roku. Był to pierwszy i jak dotychczas jedyny oddany obiekt we Lwowie, o który kardynał Jaworski niezłomnie walczył od 1991 roku. Temat tego budynku oraz innych kościołów miasta był podejmowany przy każdej rozmowie z władzami miasta, obwodu i państwa. Niniejsze wydarzenie zostało szczegółowo omówione z wojewodą lwowskim Aleksandrem Sendeħa w czasie spotkania kardynała Jaworskiego z wojewodą 4 lutego 2004 roku we Lwowskiej Obwodowej Radzie. Również we Lwowie 9 kwietnia 2004 roku rozmawiał w tej sprawie z Piotrem Olijnykiem, przedstawicielem Werchownej Rady Ukrainy.

W 2004 roku nowym ambasadorem Ukrainy przy Stolicy Apostolskiej został mianowany Hryhorij Chorużyj, z którym kardynał rozmawiał we Lwowie 8 kwietnia 2004 roku, a 28 maja 2004 roku przyjął we Lwowie postę parlamentu Ukrainy Oleksego Godyma.

Z okazji 13. rocznicy Niepodległości Ukrainy od prezydenta Leonida Kuczmy nadeszło zaproszenie dla kardynała Jaworskiego do udziału w świętowaniu tej rocznicy w Kijowie. **Wówczas to 23 sierpnia 2004 roku kardynał Marian Jaworski w kijowskim Pałacu Marijskim został odznaczony przez prezydenta Leonida Kuczmy medalem Jarosława Mądrego V stopnia, a w godzinach popołudniowych wziął udział w uroczystej akademii poświęconej 13. rocznicy Niepodległości Ukrainy.**

W sam dzień Niepodległości Ukrainy kardynał Jaworski w towarzystwie prezydenta Ukrainy i przewodniczących innych Kościołów złożył kwiaty przy



Z RACJI 13. ROCZNICY NIEPODLEGŁOŚCI UKRAINY, KARD. JAWORSKI WZIĄŁ UDZIAŁ W UROCZYŚCZOŚCIACH PAŃSTWOWYCH W KIJOWIE



TELEGRAM KONDOLENCYJNY OD PREZYDENTA WIKTORA JUSZCZENKI Z POWODU ŚMIERCI PAPIEŻA JANA PAWŁA II. 2005

pomnikach księcia Danyła Halickiego, Tarasa Szewczenki i Mykoły Hruszewskiego oraz asystował jako gość honorowy w defiladzie ku czci 13. rocznicy Niepodległości Ukrainy. Z tej też okazji papież Jan Paweł II wysłał list gratulacyjny, w którym pisał: „Dziękuję za listy i w związku z informacją o otrzymanym odznaczeniu orderem Jarosława Mądrego w dniu 23 sierpnia 2004 roku pragnę serdecznie pogratulować księdzu kardynałowi tego uznania przez prezydenta Leonida Kuczmy zasług Kościoła rzymskokatolickiego wobec społeczności na Ukrainie. Wyrażam ze swej strony wdzięczność księdzu kardynałowi za jego starania i pracę, której owoce są już widoczne. Niech Matka Najświętsza nadal wspomaga i wyprasza potrzebne łaski dla księdza kardynała i Kościoła we Lwowie”.

W tym też roku kardynał Marian Jaworski we lwowskiej w rezydencji arcybiskupów lwowskich 2 września 2004 roku z rąk Igora Żuka wielkiego mistrza rycerzy króla Danyła Halickiego odebrał medal króla

Danyła Halickiego I stopnia, a od Henadija Moskala, ministra ds. Migracji i Mniejszości Narodowych odznaczenie za osobisty wkład metropolity lwowskiego w umocnienie pokoju pomiędzy narodami Ukrainy.

Jeszcze 20 września 2004 roku w Krzemieńcu kardynał Jaworski uczestniczył w otwarciu i poświęceniu dworku Juliusza Słowackiego w 195. rocznicę od dnia narodzin poety. W uroczystości wzięli też udział wicepremier Ukrainy Dmytro Tabacznik, minister kultury RP Waldemar Dąbrowski oraz władze obwodowe i miejskie.

Bogaty na wydarzenia był również 2005 rok, który w państwie zapamiętał się bataliami o fotel prezydencki pomiędzy dwoma kandydatami Wiktorem Juszczenką i Wiktorem Janukowyczem. W Kijowie ludzie zorganizowali majdan po sfabrykowanych wyborach prezydenckich z listopada 2004 roku. Ostatecznie prezydentem Ukrainy, został wybrany Wiktor Juszczenko, którego zaprzysiężenie w kijowskim parlamencie odbyło się 22 stycznia 2005 roku. Na tym wydarzeniu był również obecny kardynał Marian Jaworski. Następnie nowy prezydent oraz zaproszeni goście udali się na Majdan, gdzie nowy prezydent złożył przysięgę przed narodem, a w godzinach wieczornych w Pałacu „Ukraina” kardynał Jaworski wziął udział w uroczystym koncercie z okazji inauguracji nowego prezydenta Ukrainy. Następnie 24 stycznia w soborze św. Zofii w Kijowie wraz z innymi hierarchami chrześcijańskimi wziął udział w spotkaniu z nowym prezydentem. W kijowskim soborze św. Zofii kardynał Jaworski tak przemawiał do nowego prezydenta: „Zadaniem każdego człowieka, zgodnie ze swoim sumieniem, jest służyć innym i tym samym

godnie wypełniać swoje powołanie. Równocześnie jako ludzie wierzący, jesteśmy przekonani, że jest to możliwe dzięki Bożemu błogosławieństwu. Tylko ono może zapewnić wypełnienie swojego powołania. Dlatego całym sercem życzę Panu, Pani Prezydencie, Bożego błogosławieństwa na wszystkie lata prezydenckiej posługi, na pożytek całego narodu ukraińskiego”.

Zaistniała jeszcze jedna okazja spotkania z prezydentem Wiktorem Juszczenką. Jak to już było wspomniane wcześniej, dwaj katolicy kardynałowie Lwowa wspólnie z prezydentem Ukrainy 7 kwietnia 2005 roku modlili się przy zmarłym papieżu Janie Pawle II. W dniu śmierci papieża z kancelarii prezydenta na ręce kardynała Mariana Jaworskiego nadesłano list kondolencyjny o następującej treści: „Z głębokim smutkiem wyrażam Waszej Eminencji i wszystkim wiernym Kościoła rzymskokatolickiego szczere współczucie z powodu śmierci Jego Świątobliwości papieża Jana Pawła II. Z ziemskiego życia odeszła osoba, która była moralnym autorytetem dla milionów osób i duchowym symbolem epoki. Aktywna działalność Ojca Świętego w znacznej mierze wpłynęła na historyczne dzieje, które odbyły się w krajach Europy Wschodniej, sprzyjała walce o wolność i demokrację na całym świecie. **Odwiedzając Ukrainę, Jan Paweł II nappełnił naszych mieszkańców poczuciem głębokiej wiary, zaskoczył otwartością i mądrością. Pamiętaj o tym wielkim papieżu na zawsze pozostanie w naszych sercach.** Modlę się, aby Bóg przyjął duszę Jego Świątobliwości papieża Jana Pawła II”.

Tenże prezydent nadesłał również telegram z okazji wyboru nowego papieża Benedykta XVI: „Szczepnie witam Waszą Eminencję i wszystkich wiernych Kościoła rzymskokatolickiego w Ukrainie z powodu wyboru papieża Benedykta XVI. Jestem przekonany, że nowy następca św. Piotra będzie godnym następcą swoich sławnych poprzedników i prawdziwym duchowym przewodnikiem wierzących w burzliwych dziejach życia. Wierzę, że Bóg szczerze będzie błogosławił jego prace na pożytek ludzkości. Korzystając z okazji, życzę Waszej Eminencji dobrego zdrowia, dobra i szczęścia”.

Po sformowaniu nowego rządu kardynał w osobnym liście gratulował funkcji premiera Julii Tymoszenko: „Witam serdecznie Panią Premier o okazji mianowania na odpowiedzialny urząd w Państwie. Modlę się do Boga za Panią oraz wszystkich ministrów nowego Rządu o błogosławieństwo Boże w odpowiedzialnej pracy dla dobra całej Ukrainy”; oraz nowemu wojewodzie lwowskiemu Piotrowi Olijnykowi: „Serdecznie witam Pana o okazji mianowania na odpowiedzialny urząd wojewody lwowskiego. Modlę się do Boga za Pana wojewodę o błogosławieństwo Boże w odpowiedzialnej pracy dla dobra naszego regionu”.

Józef Nowakowski – organista katedry lwowskiej (1894–1990) cz. 2

Jedenastego kwietnia 34 lata temu zakończyło się ziemskie życie Józefa Nowakowskiego. Do ostatnich niemal tygodni pozostawał czynny zawodowo jako organista. Jedynie przez ostatni miesiąc życia, gasnąc cicho jak dogorywająca świeca, nie opuszczał już organistówki słuchając Mszy św. z katedry za pośrednictwem sporządzonego w tym celu nagłośnienia.

JOANNA PACAN-ŚWIETLICKA

Tak też było 19 marca 1990 roku, kiedy chór Katedry Lwowskiej pod batutą Jęgo ucznia i następcy, Bronisława Pacana – jak co roku śpiewając w dniu imienin – uczył Jęgo św. Patrona przygotowaną po raz pierwszy na tę okazję „Mszę Świętokrzyżską” Jana Adama Maklakiewicza. Jej wykonania z Anną Czyżowską i Zbigniewem Jarmiąką w partiach solowych Solenizant pogratulował. Miała zaszczyt towarzyszyć wtedy chórowi realizując partię organową. Trzy tygodnie później, w Wielką Środę, w wieku 96 lat utrudzony organista zasnął w Panu. Podczas uroczystości żałobnych, które odbyły się w katedrze w Wielki Piątek, organy katedralne, na których grał przez 70 lat – milczały. Cisza i skupienie, towarzyszące kontemplacji Męki i śmierci Pana Jezusa korespondowały z powagą skromnych uroczystości pogrzebowych.

Mszy św. żałobnej przewodniczył o. Rafał Kiernicki, chór Katedry Lwowskiej „Requiem” odśpiewał a cappella, po czym trumnę z ciałem odprowadzono na cmentarz Łyczakowski, gdzie została złożona w grobowcu rodzinnym, znajdującym się tuż za murem Cmentarza Obrońców Lwowa, w pobliżu kaplicy Orłąt. Na cmentarzu dołączył do grona żałobników przybyły z Lubaczowa do Lwowa na Wielkanoc administrator apostolski archidiecezji lwowskiej bp Marian Jaworski. To pożegnanie nestora polskich katolików Lwowa było niezwykle wymowne. Ten, który opuścił Lwów przed laty jako alumn wraz z ewakuowanym do Kalwarii Zebrzydowskiej seminarium duchownym teraz, w przededniu objęcia rządów na lwowskiej stolicy metropolitalnej, zęgnął tego, który wtedy w katedrze wbrew wyrokowi historii pozostał. Pozostał po to, by jak żywy kamień rzucony na lwowski Boży szaniec trwać, ocalić, utrzymać, obronić. „Każydy z was, młodzi przyjaciele, znajduje też w życiu jakieś swoje „Westerplatte”. Jakis wymiar zadań, które musi podjąć i wypełnić. Jakąs słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć. Jakis obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić. Nie można „zdezertrować”. Wreszcie – jakis porządek prawd i wartości, które trzeba „utrzymać” i „obronić”, tak jak to Westerplatte, w sobie i wokół siebie. Tak, obronić – dla siebie i dla innych”. Jakże te słowa, skierowane do młodziży przez Papieża Polaka kilka lat wcześniej, w 1987 roku, czyli jeszcze za życia pana Nowakowskiego, współbrzmiały z postawą lwowskiego organisty, którą sam zresztą nigdy za heroiczną nie uważał, sądząc, że zrobił jedynie to, co mu sumienie nakazywało, jedynie to, co należało w tamtej sytuacji zrobić. Nie będąc już wówczas człowiekiem młodym, bo u schyłku II wojny światowej przekroczył pięćdziesiąty rok życia, nie zaważał się jednak położyć na szali przyszłość swoją i osób najbliższych, postanowił pozostać



JÓZEF NOWAKOWSKI PRZY ORGANACH KATEDRALNYCH

na posterunku i trwać do końca. Nie zaważał się, licząc się z wszystkimi konsekwencjami tej decyzji, podjąć walkę o ocalenie katedry.

Organista na trudne czasy

W Niedzielę Wielkanocną 1946 roku abp Eugeniusz Baziak odprawił ostatnią Mszę św. pontyfikalną w katedrze lwowskiej i w dniu 26 kwietnia 1946 roku na zawsze opuścił Lwów, pod presją godząc się na rolę wygnańca w Polsce, w jej wojennych granicach. Tej decyzji, która przypieczętowała masowy exodus duchowieństwa i wiernych, Nowakowski nie zaaprobował do końca życia. Zdecydowanie bliższa była mu postawa takich duchownych, jak ks. Andrzej Skrobacz z Mościsk, który powtarzał, ilekroć nagabywano go o termin wyjazdu, że opuści parafię dopiero wtedy, gdy wyjedzie ostatni jego parafianin. Zawsze z pewnym wyrzutem i ubolewaniem organista katedralny przyjmował wiadomość o likwidacji kolejnej parafii, o wyjeździe kolejnej rodziny. Katedra została pozbawiona proboszcza i kilku dotychczasowych wikariuszy. Osamotniony Nowakowski podjął jednak stanowczą, choć trudną decyzję pozostania w sowieckim już Lwowie. Obserwował, jak rozpoczął się konsekwentny proces zamykania świątyń i przekazywania ich na cele poza sakralne. Był świadkiem, jak

z 32 kościołów rzymskokatolickich w mieście pozostawiono dla kultu jedynie cztery świątynie (dwie następne zamknięto kolejno w 1951 – kościół pw. Matki Bożej Śnieżnej i w 1962 roku – kościół pw. św. Marii Magdaleny, wówczas to katedra stała się jednym z dwóch – obok kościoła św. Antoniego – czynnych kościołów rzymskokatolickich we Lwowie).

Aby uchronić Bazylikę Metropolitalną od takiego losu, Nowakowski musiał podjąć niezbędne kroki. Całą energię i umiejętności skupił na zapewnieniu bytu prawnego, materialnego katedry nie zaniebując równocześnie wymiaru duchowego jej egzystencji, starając się zapewnić podstawy „normalnego” funkcjonowania w ramach całkowicie nowej rzeczywistości naznaczonej inwigilacją i szykanami. Już samo uzasadnienie celowości funkcjonowania w ateistycznym państwie placówki tej miary, jaką była katedra, wymagało nie lada sprytu i zręczności dyplomatycznych. Na podstawie trudnych dziś do jednoznacznego zweryfikowania informacji można wnioskować, że początkowo głównym argumentem przedstawianym przez Nowakowskiego władzom, który zapobiegł dalszym naciskom zmierzającym w kierunku zamknięcia świątyni i zarazem stał się pewną „tymczasową przykrywką” dla jej dalszego istnienia była deklarowana przez niego chęć kontynuowania



JÓZEF NOWAKOWSKI (OD LEWEJ) Z KS. PRAŁATEM ZYGMUNTEM HAŁUNIEWICZEM



JANINA I JÓZEF NOWAKOWSCY

działalności zawodowej, muzycznej, „nie-szkodliwy” pod względem ideologicznym zamiar prezentowania mieszkańcom Lwowa muzyki organowej i wokalne wespół z przyjaciółmi, artystami opery lwowskiej.

W tych poczynaniach wspierali Nowakowskiego m.in. zaufani i zaprzyjaźnieni z nim od dawna baryton i zarazem kantor katedralny Marian Kołaziński (1910–1986) oraz tenor Jan Hłady (1899–1988). Można by przypuszczać, że wobec braku księży mogących wówczas podjąć na stałe posługę w katedrze i z uwagi na niemłody już wiek organisty takie argumenty przemówiły do sprawujących władzę, którzy przystali na takie „tymczasowe” rozwiązanie. Nie bez znaczenia był fakt zamieszkiwania i zameldowania Nowakowskiego w katedrze (przy dawnym Pl. Kapitulnym, którego nazwę zmieniono na Pl. Róży Luksemburg), a więc i posiadania kluczy świątyni, których oddania odmawiał. Legitymujący się „poprawnym” pochodzeniem społecznym, konsekwentny w swoich działaniach Nowakowski wkrótce zorganizował komitet katedralny, organ powoływany zgodnie z ówczesnym prawodawstwem państwowym w miejsce zlikwidowanych struktur hierarchicznych Kościoła katolickiego (diecezja, dekanat, parafia). Tzw. „dwudziestka” w imieniu państwa zarządzała działalnością parafii i jako jej organ założycielski rozporządzała jej majątkiem, zatrudniała pracujących przy kościele księży i pracowników, zawierała coroczne umowy o dzierżawę budynku katedry z Zarządem Historyczno-Architektonicznego Rezerwatu m. Lwowa. Spotkaniu komitetu odbywały się w mieszkaniu organisty, pełniącego zarazem funkcję przewodniczącego owego komitetu. Znajdowało się ono w aneksie, przylegającym od południa do prezbiterium katedry, na piętrze, z oknami wychodzącymi na kaplicę Boimów i ulicę Halicką.

Nowakowski zajął się pozyskiwaniem księży do posługi w parafii katedralnej. Nie było to zadaniem łatwym. Większość kleru diecezjalnego opuściła Lwów, udając się na zachód, inni – jak przedwojenny kanclerz kurii metropolitalnej we Lwowie ks. Zygmunt Hałuniewicz – skazani na podstawie sfabrykowanych dowodów odbywali karę w sowieckich więzieniach i łagrach. Z dotychczasowych badań wynika, iż na całym terenie przedwojennej archidiecezji lwowskiej, który znalazł się w granicach Związku Radzieckiego, pozostało zaledwie 21 kapłanów, w tym kilku we Lwowie. Pierwszym administratorem parafii na okres dwóch lat został 64-letni ks. kanonik Karol Jastrzębski, przedwojenny wieloletni katecheta szkół powszechnych we Lwowie, gorliwy orędownik kultu Bożego Miłosierdzia, który zaszczylił i szerzył w katedrze. Pomagał mu, aż do przedwczesnej śmierci w 1949 roku, młody wikariusz Stanisław Płoszyński (1914–1949). W 1948 roku, po powrocie z łagrów, funkcję proboszcza objął franciszkanin Sługa Boży o. Rafał (Władysław) Kiernicki (1912–1995), z którym Nowakowski współpracował do końca życia. W duszpasterstwie katedry o. Rafałowi

pomagali ponadto: nadal ks. Jastrzębski aż do śmierci w 1966 roku, jak również okresowo, po powrocie sowieckiej zsytki: jezuita z pobliskiej parafii w Szczercu o. Ludwik Seweryn (1906–1970) i ks. Zygmunt Hałuniewicz (1889–1974). Dopiero w roku 1974 komitetowi katedralnemu udało się wystarać o pierwszego po wojnie wikariusza, którym został wyswięcony w Rydze na Łotwie, a pochodzący z rodziny zesłańców z Podola do Kazachstanu ks. Ludwik Kamilewski (1946–2019). „Ojciec Rafał pesymistycznie zapatrywał się na tę sprawę, a jednak Komitet kościelny przeforsował” – odnotowała w swoich wspomnieniach pt. „Historia Kościoła we Lwowie od 1939 roku” Zofia Sokolnicka-Izdebska.

Wsparciem dla wciąż jeszcze pełnego życiowej energii, chociaż dźwięgającego już na karku szósty krzyżek Nowakowskiego, była żona, Janina z Hoszowskich, urodzona w 1913 roku we Lwowie, córka Ludwika i Anny z Kisielewskich, którą poślubił 1 lipca 1959 roku. Dziesięć lat w boku męża, podobnie jak pierwsza małżonka przez lat ponad trzydzieści, będąc jego ostoją na jesieni życia. Dbała o uregulowany tryb każdego dnia zapracowanego męża, o jego zdrowie, wypoczynek i odpowiednią dietę. Stworzyła mu dom pełen ciepła i gościnności. Prawie dwadzieścia lat młodszą od małżonka, przeżyła go o lat dziewięć. To dzięki jej pisemnej relacji, sporządzonej już po śmierci męża na prośbę Bronisława Pacana, posiadamy szereg cennych informacji i faktów z życia pana Nowakowskiego. Potomkowie siostry pani Janiny użyczyli zaś zdjęć ze zbiorów rodzinnych, wykorzystanych również w tym artykule.

Fakt, że wówczas w katedrze stałe mieszkał organista, był niezwykle istotny dla księży przybywających do Lwowa w różnych sprawach z okolicznych parafii, z Podola, Wołynia czy niekiedy z bardziej nawet odległych stron. Zawsze mogli liczyć na pomoc i nieodzowną w tamtych okolicznościach dyskrekcję państwa Nowakowskich. Właściwie o dowolnej porze dnia i nocy można było dostać się do katedry. Każdy zaufany, bądź odpowiednio poinstruowany wiedział, że wystarczyło zapukać do rynnicy katedry obok mieszkania organisty, by już za chwilę klucz opuszczony przez panią Jasię na sznurku, łądował w rękę gościa i otwierał podwoje świątyni. Czasem dochodziło do sytuacji przebabawnych, a nieraz i wprawiających w zakłopotanie, jak wtedy, kiedy to mała Tereska, siostrzenica pani Janiny, będąca częstym gościem u bezdzietnego wujostwa, zdecydowanie odmówiła otwarcia oczekującemu pod drzwiami w cywilnym – bo jak wtedy inaczej – ubraniu tajemnego ks. biskupowi Janowi hr. Cieńskiemu ze Złoczowa, rezolutnie tłumacząc przybyszowi, że nie może go wpuścić, ponieważ go nie zna. Interwencja wielce skonfundowanej pani Jasi, która w porę jednak powróciła z przepastnych zakamarków katedralnych, szczęśliwie wybawiła hierarchę z niezręcznej sytuacji. Roztropnością i dobrem ogólnym kierowali się państwo organistostwo również świadomie rezygnując

Sensacyjne odkrycie podolskich krajoznawców

Co łączy Podole ze świątynią Grobu Pańskiego

Na łamach „Nowego Kuriera Galicyjskiego” opisywałem projekt badawczy „Mogiły Przodków”, zapoczątkowany przez Wydział kultury Rady miasta Gródka Podolskiego wspólnie z Organizacją Społeczną „Ukraina Incognita”. Przypomnę – w projekcie mają zostać przebadane i zinventaryzowane nekropolie na terenie gminy Gródek Podolski (polskie, ukraińskie i żydowskie). Ma to na celu zachowanie spuścizny kulturowej i popularyzację wielonarodowej kultury Podola. O dokonanych przez krajoznawców odkryciach – często sensacyjnych – pisałem wielokrotnie na łamach „Kuriera”, jak również informowałem liczne krajowe i zagraniczne media. Wynikiem projektu ma być publikacja i seria wystaw fotograficznych. Pierwszą taką wystawę planuję poświęcić polskim nekropoliom. Po ekspozycji w Gródku zostanie przekazana do Sochaczewa – miasta partnerskiego Gródka Podolskiego.

DMYTRO POLUCHOWYCZ

Tym razem w soczewce projektu „Mogiły Przodków” znalazła się wieś, dawniej miasteczko, Kuźmin w gminie Gródek i wioska Kumanów w gminie Satanów. Ta ostatnia miejscowość z czasem podzieliła się na Kumanów i Andrijiwkę.

Znaleziska dokonane w Kuźminie okazały się nadzwyczaj interesujące, a XIX-wieczne freski, odkryte w miejscowej synagodze – po prostu sensacyjne! Na szczęście wcześniej zostały pokryte sowieckim tynkiem i dlatego przetrwały. Ale największą sensację wywołały odkrycia w Kumanowie-Andrijiwce.

Pierwszego dokonano na prawosławnym (ukraińskim) cmentarzu. Mamy tu wiele starych nagrobków w kształcie krzyży, czasami dość nietypowych dla tych okolic. Najstarsze pochówki datowane są końcem XVIII w. Najbardziej interesujące i niespodziewane są dwa, leżące obok siebie nagrobki na pochówkach dwójki dzieci – 5- i 6-letnich. Mają jedną datę – 1877 r. Prawdopodobnie dzieci zmarły w jednym czasie wskutek wypadku lub choroby infekcyjnej. Te nagrobki odnalazł aktywny uczestnik projektu Walentyn Niszczycy.

Kamienne krzyże na dziecięcych pochówkach są interesujące ze względu na charakterystyczne dla rzymskich katolików (Polaków) zdobnictwo, różniące się od prawosławnego (ukraińskiego). Rewers krzyży ozdobiono katolickim krzyżem i literami „IHS”. Prawdopodobnie są dziełem tego samego kamieniarza i wiele takich można spotkać na katolickim cmentarzu Gródka. Jak uważa współautor projektu, kierownik Wydziału kultury Oleg Fedorow, przyczyna używania takich krzyży jest w tym przypadku oczywista:

– W tych czasach gotowce na nagrobki rozwozili po wioskach tzw. „krzyżowozy” – mówi Oleg. – Brali do realizacji gotową produkcję kamieniarza i sprzedawali ją za pieniądze bądź za ziarno. Mieli w rezerwie wyroby na wszystkie wypadki – nawet żydowskie macewy. Możliwe, że gdy „krzyżowóz”



DMYTRO POLUCHOWYCZ

dotarł do Kumanowa, prawosławne czy neutralne nagrobki skończyły się i rodzicom nie pozostało nic innego, jak kupić te katolickie. Prawdopodobnie wygląda też inna wersja: możliwe, że dzieci pochodziły z mieszanego małżeństwa. W tym przypadku symbolika katolicka była kompromisem.

Natomiast Walentyn Niszczycy ma swoją wersję. Krajoznawca uważa, że mógł się tu ujawnić aspekt finansowy:

– Jak widzimy, dzieci zmarły czy zginęły jednocześnie. Nie wiemy na ile zamożni byli rodzice. Kupno jednocześnie dwóch dużych krzyży mogło okazać się zbyt drogie. Wybrali dwa mniejsze, a te miały katolickie symbole... Wychodząc z założenia, że „Bóg jest jeden dla wszystkich”, kupili te tańsze.

W chwili dokonania tego odkrycia mieliśmy wrażenie, że będzie to główne znalezisko ekspedycji nad brzegami Skwiły. Ale jak się okazało prawdziwe niespodzianki miały dopiero nastąpić!

Należy zaznaczyć, że Kumanów i Andrijiwka są bardzo oddalonymi wioskami i noga badacza-krajoznawcy jeszcze tu chyba nie stąpała. Przynajmniej w Internecie nie ma o tym żadnej wzmianki. Dostać się tu przypadkowo jest raczej niemożliwe, a nieprzypadkowo – trzeba się dobrze postarać i najpierw bardzo tego zapragnąć. Taka ignorancja wygląda na dziwną. Przyroda jest tu czarująca, krajobrazy wspaniałe – nawet na początku kwietnia. A już w maju będzie tu prawdziwy raj. Co się tyczy zabytków – tych też jest tu pod dostatkiem. Główna przeszkoda – to drogi. Dojechać tu jest dość trudno.

Ozdobą wioski jest kościół pw. Przemienienia Pańskiego, stojący na szczycie wysokiego wzgórza. Informacji o nim jest bardzo mało, a co więcej, wiadomości są sprzeczne. Jedno jest pewne – współczesny kształt kościoła pochodzi z roku 1750. I został zbudowany w miejscu świątyni

wcześniejszych. Fundatorami kościoła była znana w tych okolicach rodzina Stadnickich herbu „Sreniawa”. Przez dłuższy czas kościół był centrum olbrzymiej parafii, liczącej około 15 okolicznych wiosek. Po zajęciu tych terenów przez sowietów dla parafii nadeszły trudne czasy. W oczach władzy moskiewskiej i miejscowych kolaborantów Kościół okazał się podwójnie wrogi. Po pierwsze, bolszewicy wszystkie świątynie uważali za wrogie. Po drugie – była to świątynia polska (katolicka). W okresie międzywojennym głównym wrogiem sowietów była właśnie „pańska” Polska, a nie Niemcy, Brytania czy USA. Na dodatek były to tereny przygraniczne i wszyscy miejscowi Polacy (nawet robotnicy i chłopcy) uważani byli za szpiegów Piłsudskiego. Nie mówiąc już o kapłanach. Jak wspomina najstarsi mieszkańcy, ostatniego księdza kumanowskiej parafii (prawdopodobnie o. Liniewicz) miejscowy Ukrainiec przeprowadził za Zbrucz. Gdy władza dowiedziała się o tym – ratownika kapłana rozstrzelano.

Po zamknięciu kościoła urządzono w nim magazyn zboża, a po II wojnie światowej – nawozów sztucznych. Dopiero po uzyskaniu przez Ukrainę niezależności świątynię zwrócono wiernym i z czasem wzniesiono ją z ruin wysiłkiem słynnego księdza Władysława Wanagsa. Niestety, nie udało się odnowić bogatych sztukaterii i fresków – to drogo kosztowałoby i nie ma już tych artystów-mistrzów.

Biorąc pod uwagę wiek kościoła i nekropolii, badacze mieli nadzieję na odnalezienie nagrobków nawet z XVIII w. – przecież grzebano tu szlachtę z okolicznych 15 wiosek. Te nagrobki musiałyby być szczególne. Jednak nadzieje, związane z olbrzymim, otocznym murem cmentarzem, nie sprawdziły się. Większość jego terenu okazała się pusta i wyglądała jak zwykły las. Nawet kamiennych ułamków nie było. Odnaleziono



ARTUR STOROŻUK

jedynie kilka spładowanych podziemnych grobowców.

Jest ku temu proste i niestety smutne wyjaśnienie. Od razu po zamknięciu kościoła komuniści wywieźli z cmentarza wszystkie elementy metalowe. Industrializacja wymagała wielkich zasobów żelaza, którego na nekropolii było wiele. Według przekazów, jedynie na grobie rodziny Żukowskich (kiedyś właścicieli połowy wioski) stał żelazny krzyż o wysokości 8 m! Oprócz tego na cmentarzu było wiele nagrobków, udekorowanych elementami z brązu.

Mieliśmy szczęście, że udało nam się odszukać około 15 starych nagrobków. Dość interesujących. Pośród nich, np. na spładowanych grobie jednego z właścicieli wioski Gustawa Pliśniewicza (druga część wioski należała do wspomnianych Żukowskich).

Należy zaznaczyć, że kumanowska świątynia ma jedną unikalną cechę – otoczona jest olbrzymim terenem tzw. „ziemi kościelnej”, czyli terenu, należącego do parafii. Dawniej stały tu różne zabudowania: dom wikarego, szpital, plebania i inne. Aby uzmysłowić sobie wielkość tego terenu, dość powiedzieć, że piętrowa plebania, wzniesiona jeszcze w 1781 r. leżała w odległości ok. 200 m od kościoła. Jeszcze w latach 80. XX w. mieściła się w niej miejscowa szkoła, a dziś – tylko malownicze ruiny pośród zarośli. Szkoda, że tak dawny zabytek niszcze.

A teraz przejdziemy do głównego odkrycia naszej ekspedycji podczas realizacji projektu „Mogiły Przodków”. Ba! Gdyby nie wojna, byłaby to sensacja na skalę ogólnokrajową.

Koło drogi, wiodącej do kościoła ujrzelśmy wejście do starego lochu. Biorąc pod uwagę szereg cech – przede wszystkim charakter murowania – zrozumieliśmy, że nie był to zwykły wiejski loch. Jednak, bez specjalnego sprzętu nie mogliśmy go

spenetrować. Wejście było zawalone śmieciem (prawdopodobnie jak i wnętrze), było pełno rozbitego szkła. Ponadto, śmieci kilkakrotnie podpalano i wszystko pokryte było grubą warstwą sadzy. Potrzebne było gruntowne czyszczenie i kombinezony. Kiedyś na pagórku lochu – a może grobowca – prawdopodobnie stała jakaś sakralna figura, ale została zniszczona przez sowietów. Jej ślady nie zachowały się, ale złożony z bloków kamiennych postument przetrwał. Wprawdzie jest on też przewrócony.

Jakież było nasze zdziwienie, gdy oczyszciliśmy pokrywający kamień mech i ukazały się nam krzyże-graffiti. Te dekoracje w literaturze fachowej noszą nazwę „krzyży pielgrzymów”. Takie znaki pozostawiali pielgrzymi po odwiedzeniu szczególnych miejsc świętych. Wyrzyty krzyżyk miał nie tylko świadczyć o nawiedzeniu świątyni, ale też wzmocnić odmawiane tu w różnych intencjach modlitwy. Takie najstarsze krzyże pielgrzymów pokrywają mury świątyni Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Jest ich tam dziesiątki, jeżeli nie setki tysięcy. Interesujące jest to, że wewnątrz świątyni krzyże były rzeźbione przez kamieniarzy, a na zewnątrz pielgrzymi ryli je sami. W takiej liczbie jak w Andrijiwce – a naliczono ich około trzydziestu – krzyży pielgrzymów na Ukrainie dotąd nie spotykano!

– Takie krzyże na terenach Centralnej i Wschodniej Europy datuje się w szerokim zakresie – od X w. (Murfatlar w Rumunii) do XVIII w. (klasztor skalny w Subiczu w obw. chmielnickim) – komentuje znalezisko podolski historyk i archeolog Pawło Neczajtalo. – Biorąc pod uwagę rok 1704, wyrzeźbiony na postumencie, mamy do czynienia z XVIII w. Nie wykluczam, że niektóre z nich powstały później – na początku XIX w. Dzięki ubiegłorocznej ekspedycji w ramach projektu „Ukraina Incognita” i odnalezionemu krzyżowi na grobie Pantelejmona Kopytko (zm. 1860), który też jest pokryty krzyżami pielgrzymów, możemy sądzić, że taka praktyka trwała do II połowy XIX w.

Historyk również dodał:

– Podobne tradycje w naszych krajach były bardziej charakterystyczne dla prawosławnych klasztorów skalnych, ale zdarzały się i w świątyniach katolickich. Jednak w takiej liczbie w tradycji katolickiej nie były dotąd odnalezione. Na razie ta zagadka nie znalazła bezpośredniego wytłumaczenia.

Dlaczego taką czią otoczona była właśnie ta figura – na razie nie wiadomo. Dlaczego otoczona była taką czią, że pozostawiali na niej swoje krzyże pielgrzymi – na razie pozostaje tajemnicą, którą trzeba będzie dopiero rozwikłać.

Niestety, tablica z napisem nic nie jest w stanie wytłumaczyć, bo miękki wapień skruszał i napis jest nieczytelny. Udało się odcyfrować jedynie poszczególne słowa: „Novels... A Jacobes...dictions... Lingram(?)”. Możliwie, że na innej stronie postumentu też jest jakiś napis, ale trzeba ją dopiero odwrócić. Może coś wyjaśni.

Niestety, rozmowy z mieszkańcami wioski nic nie wyjaśniły – nie widzą nic o tej figurze. Nie pomógł nawet ksiądz Krzysztof, który przyjeżdża tu z Satanowa na nabożeństwa. Na prośbę krajoznawców przeprosił wiernych, ale bezskutecznie. Możemy jedynie przypuścić, że loch na którym stała figura, jest grobowcem bardzo szanowanej we wsi osoby, uważanej przez mieszkańców za świętego.

Na razie mamy kolejną zagadkę historii, którą należy rozwiązać. Może ktoś z polskich historyków wie coś na ten temat, a może zachował się jakiś zapis w archiwach...



DMYTRO POLUCHOWYCZ

Przemysł naftowy w Galicji – pionierzy i wizjonerzy, wynalazcy i „rekiny biznesu”, sensacje i katastrofy

Rok 2023 był rokiem jubileuszowym dla przemysłu naftowego w Galicji. Właśnie 170 lat temu we lwowskiej aptece Piotra Mikolascha „Pod Żółtą Gwiazdą” przy ulicy Kopernika 1 przeprowadzono pierwszą w Galicji i Imperium Austriackim destylację ropy naftowej i skonstruowano pierwszą lampę naftową dla oświetlenia, w Polsce powszechnie zwaną „lampą Łukasiewicza”.

TEKST I ZDJĘCIA
JURIJ SMIRNOW

To wiekopomne wydarzenie miało miejsce 31 lipca 1853 roku i po dzień dzisiejszy jest to symboliczna, oficjalna data przyjęta za początek polskiego przemysłu naftowego. W tym dniu „lampą Łukasiewicza” oświetlono salę operacyjną we lwowskim Szpitalu Powszechnym przy ulicy Pijarów, gdzie przeprowadzono pierwszą we Lwowie chirurgiczną operację nocną. Wcześniej, mianowicie 30 marca tegoż roku, taka sama lampa zapłonęła w oknie wystawowym apteki „Pod Żółtą Gwiazdą”.

170 lat rozwoju przemysłu naftowego w Galicji to lata kiedy uboga, zacofana, najbardziej biedniejsza prowincja Monarchii Austriackiej (od 1867 Austro-Węgier), zrobiła się nagle „Galicyjską Kalifornią”, „Naftową Ziemią Obiecaną”. Nikomu wcześniej nie znane nazwy miejscowości, jak to Pieczeniżyn, Słoboda Rungurska, Schodnica, Borysław, Tuśtanowice wypełniły szpalty gazet nie tylko lwowskich, ale też wiedeńskich, berlińskich, a nawet amerykańskich. Patriarchalny wiejski krajobraz Podkarpacia wypełniły szyby naftowe i pochodnie płonącego gazu nad nimi... W świat biednych chłopów galicyjskich niespodzianie wtargnęły „tygrysi biznesu” i geniusze techniki. Kto trafił na podziemny skarb, został milionerem. Pozostali bankrutowali. W najuboższej części państwa pojawili się nagle krezusi, milionerzy, czy jak ich według mody amerykańskiej prof. Stanisław Niciejca nazywa „selfmademany-galicyjscy szejkwowie”. Lecz bez działalności ludzi całkiem innego rodzaju-entuzjastów, wizjonerów, wynalazców, wybitnych inżynierów, rozwój przemysłu naftowego był po prostu niemożliwy. W historię Galicji właśnie ich nazwiska wpisano na zawsze złotymi literami. Wśród nich pionierzy przemysłu naftowego Jan Zeh i Ignacy Łukasiewicz,



PORTRET PIOTRA MIKOLASCHA

„król polskiej nafty” Stanisław Szczepanowski, jego współpracownicy Kazimierz Odrzywołski i Wacław Wolski – genialny wynalazca tzw. „wiertniczego taranu hydraulicznego”, Marian Wieliżyński – „alchemik ze Lwowa”, ojciec polskiego gazownictwa.

Otóż, wszystko rozpoczęło się we Lwowie, w aptece „Pod Żółtą Gwiazdą”. Jak doszło do destylacji ropy naftowej i pierwszej lampy naftowej i kto właściwie był wynalazcą? Nawet zasłużony miłośnik Lwowa Witold Szolginia, autor cyklu wspomnień „Tamten Lwów”, bez cienia wątpliwości pisze: „W aptece pracował sławny później pionier przemysłu naftowego w Europie Ignacy Łukasiewicz. Tu też właśnie w roku 1852 ten aptekarski wówczas zaledwie prowizor wydestylował z podkarpackiej ropy naftowej czystą naftę, a rok później skonstruował pierwszą w świecie lampę naftową”. W rzeczywistości cała historia była bardziej skomplikowana, a sekrety z owych czasów zostały



POMNIK JANA ZEHA WE LWOWIE



APTEKA MIKOLASCHA, OBECNIE KAWIARNIA

zapomniane lub schowane na półkach archiwalnych.

Właścicielem największej, najpopularniejszej i najbardziej słynnej nie tylko we Lwowie, ale i w całej Galicji apteki „Pod Żółtą Gwiazdą” był Piotr Mikolasch. W aptece działało chemiczno-farmaceutyczne

laboratorium, w którym od 1848 roku zatrudniony był magister farmacji Jan Zeh, absolwent Uniwersytetu Wiedeńskiego.

W 1852 r. tu, pod kierownictwem starszego kolegi, rozpoczął pracę jako asystent o pięć lat młodszy od Zeha Ignacy Łukasiewicz, który dopiero 30 lipca tegoż roku otrzymał w Wiedniu dyplom uniwersytecki. Jego sytuacja była dość skomplikowana również z powodu nadzoru policyjnego w sprawie domniemanej nielegalnej działalności niepodległościowej.

Warto krótko przypomnieć życiorysy obydwóch farmaceutów. Jan Zeh (1817–1897) pochodził z Łańcuta, był synem miejscowego aptekarza Joachima Zeha. Praktykę aptekarską odbył w aptece w Samborze. Następnie studiował na Uniwersytecie Wiedeńskim, uzyskując 8 sierpnia 1846 roku tytuł magistra farmacji. Po studiach podjął pracę w aptece Piotra Mikolascha we Lwowie. Ignacy Łukasiewicz (1822–1882) urodził się w rodzinie szlacheckiej pochodzenia ormiańskiego. W latach 1836–1840 pracował jako praktykant w aptece Antoniego Swobody w Łańcutcie, zaś od 1840 roku w aptece w Rzeszowie. Działał w organizacjach demokratyczno-niepodległościowych, w wyniku czego w 1846 roku został aresztowany przez policję austriacką. Dopiero 27 grudnia 1847 roku został zwolniony z więzienia we Lwowie, lecz znajdował się pod stałą obserwacją policji. Dzięki wstawiennictwu Piotra

Mikolascha rozpoczął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, zaś dyplom magistra farmacji otrzymał 30 lipca 1852 roku na Uniwersytecie Wiedeńskim i wrócił do Lwowa do apteki Mikolascha.

W tym czasie do Piotra Mikolascha zgłosił się Żyd Abraham Schreiner, propinator (karczmarz) z Borysławia i zaproponował kupić od niego kilka beczek prymitywnie destylowanej ropy. Przedsiębiorczy Żyd razem ze swoimi wspólnikami Stiermanem i Herzem myśleli o „fabrykacji z tego cuchnącego zielonawo-ciemno-brunatnego surowca spirytusu”. Zaś Mikolasch pomyślał o możliwości jego oczyszczenia i uzyskania bardzo cennego i drogiego farmaceutycznego preparatu pod nazwą „Oleum Petrae Album” (Olej biały skalny), który dotąd sprowadzano z Włoch. Z tego włoskiego oleju skalnego w aptece produkowano modne leki kosmetyczne, krople na robaki, maści dermatologiczne.

Właśnie Jan Zeh, jako szef laboratorium aptecznego (laboratorium), otrzymał nakaz Piotra Mikolascha, by zająć się oczyszczeniem i rozgatkowaniem „cuchnącego destylatu”. Praca jednak nie posuwała się szybko i jak później w 1889 roku pisał sam Zeh w artykule „Pierwsze objawy przemysłu naftowego w Galicji”, który został opublikowany w „Czasopiśmie Towarzystwa Aptekarskiego”: „nikt by nie uwierzył, jak wielkiej potrzeba było zrazu wytrwałości i zapaęcia się, ażeby cuchnącą i zbyt łatwo zapalną naftę ujarzmić do potrzeb człowieka. Nie mając stosownych urządzeń, zwykły jak ja śmiertelnik łamiący pierwsze lody na polu krajowego nacierstwa, cierpiąłem ustawicznie na ból i zawrót głowy, gdyż czad i cuchnące gazy sprawiały nawet odurzenie. Ludzie unikali mnie, lecz i ja na wskroś przesiąknięty swędami ropy nie mogłem się między ludźmi pokazać bezkarnie. Mając znośną posadę w aptece sp. Mikolascha, miałem i obowiązki, mogłem więc tylko w nocy eksperymentować z naftą. Przez kilka tygodni z rzędu prawie się nie rozbierałem, pracując po nocach i dociekając sposobu czyszczenia nafty, ażeby sprawy nie zaspac. Toteż zdaje mi się, iż ludzie mieli mnie za obłąkanego...”

Można wnioskować, że Mikolasch rozczarował się w możliwości otrzymania „Oleum Petrae Album” i Jan Zeh zajmował się destylacją na własną rękę, w wolnym czasie po nocach.

„Drobne” w „Gazecie Porannej”

Rubryka „DROBNE” w „Gazecie Porannej” mieściła krótkie informacje z wydarzeń w mieście czy w okolicach Lwowa, a także sprawy, które mieszkańców interesowały najbardziej. Studiowanie rubryki umożliwiało szybki ogląd ostatnich wydarzeń i to, chyba, najbardziej interesowało czytelników tego popularnego pisma. Oto, co można było tam przeczytać.

OPRACOWAŁ
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Niżej proponujemy interesujące teksty dotyczące spraw lwowskich:

Jak się nasza publiczność zachowuje się w teatrze

Nie jest rzeczą nową, że po Wojnie zmieniła się publiczność teatralna. Inne osoby, inne typy widzi się w latach ostatnich w łóżach parterowych i I piętra, jako też na pierwszorzędnym fotelach... Inaczej zachowuje się ta nowa publiczność od tej dawniejszej, niejako wyrosłej i wychowanej od dzieciństwa w atmosferze sztuki i kultury. Ich następcy powojenni weszli tu zupełnie nieprzygotowani, nieobeznani ze środowiskiem. Toteż zachowanie ich rażące i nieodpowiednie należało z początku przyjmować z pobłażliwością, zostawić im czas na okrzese się, wyczekać na uszlachetniających skutków sztuki na ich barbarzyńską pierwotność.

Dlatego dotychczas, choć niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na niewłaściwe zachowanie się publiczności w teatrze, czyniliśmy to z gestem wyrozumiałości. Jednakowoż po upływie kilku lat, mamy już prawo domagać się, aby ci nowi bywalcy teatralni nauczyli się zachowania w przybytku, do którego przyszło słuchać muzyki, śpiewu, czy słów padających ze sceny. Nie chcą tego uwzględnić wystrojone i wydekoltowane panie z pierwszorzędnym łóżem i fotelami i nie tylko podczas uwertury operowej, ale nawet przy otwartej scenie, prowadzą sobie bez żenady rozmowy, nie mające nic wspólnego ze sztuką – lub udzielają sobie wzajemnie uwag, przeważnie bardzo naiwnych, a częściej jeszcze niesmacznych o tem, co się dzieje na scenie.

Niechajże wszystkie panie uczą się przynajmniej z gazety, że w teatrze rozmawiać wolno tylko podczas antraków i że w środowiskach kulturalnych zagranicą za przeszkadzanie podczas spektaklu byłyby bezwarunkowo wyproszone ze sali.

U nas we Lwowie można by ten środek zastosować.



NIC DZIWNEGO, ŻE UL. ŻÓŁKIEWSKĄ POSTANOWIONO UPORZĄDKOWAĆ

Lustracja bez końca

Komisja lustracyjna, badająca agendy naszego magistratu, urzęduje już od listopada, a o rezultatach jej prac dotychczas głucho.

Bada ona detale, liczby etc. Marnuje bezpotrzebnie na drobniaczki ogromny zasób energii i siły, choć w magistracie naszym – Bogu dzięki – urzędują jeszcze i też funkcjonariusze, którym na palce okiem prokuratora patrzeć nie trzeba. Czyżby p. lustrator pragnął w ten sposób odwiec chwilę swej postanowionej redukcji? Może p. Kędzior przemówi wreszcie w tej sprawie?

Nareszcie zaczyna się porządkowanie Lwowa

Na ostatnim posiedzeniu Magistratu uchwalono szereg doniosłych wniosków, zmierzających do uporządkowania tej stajni Augiasza, jaką w okresie od czasu wojny światowej stało się nasze miasto. Magistrat zamierza przystąpić poważnie do naprawy chodników, baraków, do uporządkowania plantacji i naprawy kanalizacji. W tym mają być przedstawione reprezentacji miejskiej wnioski

przeprowadzenia w r. 1924 licznych robót drogowych, kosztem około 141 miliardów mk. Mają zostać uporządkowane: ul. Romanowicza, Kościuszki i inne, oraz Rynek, który ma otrzymać nowe chodniki, wyłożone płytami trembowelskimi. Dalej postanowiono ze względu na to, że żwir używany dotychczas na wysypywanie ścieżek w plantacjach i ogrodach miejskich nie odpowiada potrzebom, a ścieżki stają się wkrótce rozmokłe i błotniste, sprowadzić na ten cel żwir z rzek górskich po cenie 40 zł. za wagon. Uporządkowanie obejmie ul. Słoneczną i Żółkiewską, wykończenie robót przy ul. Piekarskiej, kosztem około 80 mld. mk.

Nadto uchwalono jeszcze w tym tygodniu rozpocząć dalsze roboty przy budowie domu dla robotników czyszczenia miasta przy ul. św. Marcina.

Straż Mogił Polskich Bohaterów

Przy pomocy funduszków na ten cel zebranych stawia na Persenkówce pomnik z wrytymi nazwiskami poległych tamże obrońców Lwowa w walkach od 1. listopada 1918 do 20.



TEN POMNIK ZNIESIONO W 10 ROCZNICĘ WALK. WYRYTYCH NAZWISK JAKOŚ NIE WIDĄĆ

przekraczającej 6 godzin tygodniowo. Tę poprawkę przyjęto.

Otwarcie trumny królowej

W Podziemiach Wawelu, mieszczących groby królewskie, odbyło się 31. marca otwarcie trumny jednej z najwybitniejszych królowych Polskich, Marji Ludwiki Gonzagi, żony Władysława IV i Jana Kazimierza, znanej z powieści Sienkiewicza „Potop”. Królowa ta zjednała sobie dobre imię w Polsce, pracując przez całe życie dla dobra przybranej Ojczyzny.

Otwarcie, to mające na celu zbadać stopień uszkodzenia sarkofagu, jest zapoczątkowaniem prac kółko restaurowanych grobów królewskich. Wyjątkowo długa trumna główna, kryjąca szczątki tej wielkiej królowej, zrobiona jest z dużych, podłużnych płyt miedzianych grubo posrebrzanych, spojonych szerokimi połączanymi pasami z podłużnym takim że krzyżem pośrodku. Główna ta trumna zaśrubowana była nader zmyślnie dwoma wielkimi metalowymi kartuszami o wspaniałym barokowym obramieniu, w głowie i w nogach.

Po odsrubowaniu wieka pierwszej trumny przedstawiła się oczom komitetu wewnętrzna trumna drewniana, która pokryta była zdartą przez wandalskie ręce, niewiadomo czyje, wspaniałą materią z grubego czerwonego adamaszku, tkanego w srebrne liście. Gdy bez wszelkiej trudności podniesiono drewniane wieko drugiej trumny, przedstawiła się oczom obecnych w trzeciej trumnie cynowej leżąca, wyjątkowej na kobietę wysokości, postać królowej, mierząca przeszło 1.70 m. Godzi się to w zupełności z tem, co o niej współcześnie pisała pani de Motteville w swym pamiętniku, że „była pięknego wzrostu”.

Szkielet królowej zachował się doskonale. Na czaszce o głębokich oczodołach spoczywa królewska korona ze zwykłego jakiegoś metalu, zrazu niezawodnie złocona; gałka z jej szczytu odpadła na bok. W prawym ręku berło metalowe, złamane do połowy, w lewym – jabłko królewskie. Wspaniałość szat na szkielecie ledwo że dostrzegalna. Widny wyraźnie z grubej, może metalowej koronki, jakby z tasiemeczek złożonej, przód stanika, tak zwany „devaut de corsage”, także same koronki widnieją na rękawach, a wszystko to razem ma dziś kolor jasno-brunatny. Podobnie zresztą, jak wszystkie widoczne kości.

Wewnątrz trumna obita była czerwoną adamaszkową materią. Gdy przed laty obdzierano materię wewnętrzną, wewnętrzne jej części spadły do środka i przykryły prawie całkiem szaty królowej. Po odchyleniu jej delikatnym w paru miejscach, ujrano wspaniałą tę szatę, obszytą grubymi, a do dziś dnia

Wewnątrz trumna obita była czerwoną adamaszkową materią. Gdy przed laty obdzierano materię wewnętrzną, wewnętrzne jej części spadły do środka i przykryły prawie całkiem szaty królowej. Po odchyleniu jej delikatnym w paru miejscach, ujrano wspaniałą tę szatę, obszytą grubymi, a do dziś dnia

Wewnątrz trumna obita była czerwoną adamaszkową materią. Gdy przed laty obdzierano materię wewnętrzną, wewnętrzne jej części spadły do środka i przykryły prawie całkiem szaty królowej. Po odchyleniu jej delikatnym w paru miejscach, ujrano wspaniałą tę szatę, obszytą grubymi, a do dziś dnia

jasno błyszczącymi, srebrnymi koronkami.

W chwili otwarcia trumny obecny ks. prałat odmawiać począł wzruszonym głosem modlitwy za umarłych, wszyscy obecni powtarzali je głośno, klęcząc przy trumnie wielkiej królowej, zmarłej przed laty dwustu pięćdziesięciu siedmiu. Groza śmierci biła w całym majestacie od tych królewskich szczątków. Cała świetna przeszłość Polski stanęła jak żywa w umysłach obecnych. Na razie trumnę ponownie zamknięto po odfotografowaniu jej wnętrza. Ma ona być złożona tymczasem do osobnej hermetycznie zamkniętej skrzyni, i później w odrestaurowanym sarkofagu przeniesiona na poprzednie miejsce.

Pozostałe grobowce królewskie wymagają również rychłej naprawy, ale nie wystarczają na to fundusze, którymi rozporządza jeszcze komitet.

Co słycać w Rzeszowie?

Z nastaniem wiosny Rzeszów rokrocznie tonie w fetorze nieczystości i błocie. Wystarczy pobieżnie przejrzeć na tereny, leżące w tyle poza synagogą na prawo i lewo partię kamienic, ich podwórza i przyległą ulicę, ażeby rzetelnie zdumieć się, że tutaj w tymczasem dzuma nie wybuchła.

Jeżeli już jednak mowa o próżniactwie, to i w tym kierunku Rzeszów celuje. Więc „Sokół” tradycyjnie śpi, aż chrapie; zużył się również i rozpytnął w nicłość młodzieńca „Rozwój”, a chyba jedynie karcięta odchodzą w kasynie i bomby „Okocimia” po knajpach...

Ze smutnych wiadomości wypada nadmienić, iż choruje i umiera w Rzeszowie sporo ludzi. Z wesołych natomiast... opis pożegnania przez kolejarzy tutejszej ogrzewalni oficjała Buczyńskiego. Bawiono się z tej okazji do ósmej rano przy współudziale dętej orkiestry.

Z życia Polonii na Bukowinie

Pod przewodnictwem Prezydenta Tytusa Czerkawskiego odbyto się w Czerniowcach



WILANOW-PALAC.PL

MARIA LUDWIKA GONZAGA

posiedzenie naczelnego Prezydium Polskiej Rady Narodowej w Rumunii. Przedłożono trzy projekty pomnika, jaki ma się wznieść na cześć bohaterów Raratniańskich. Uchwalono w zasadzie w roku bieżącym wystawić w Rarańczy na trwałą pamiątkę szarzy Pomnik na cześć poległych bohaterów i przystąpić do poświęcenia tej pamiątki 13. czerwca b. r. Najstarsza i najzasłużeńsza instytucja polska na Bukownie Towarz. Bratniej pomocy i Czytelnia polska w Czerniowcach – odbyto doroczne 56-te z rzędu walne zgromadzenie. Zebrano się dużo także starszych wiekiem, długoletnich członków tej najstarszej, w r. 1869 do życia Powołanej, a długie lata jedynej instytucji polskiej na Bukowinie.

Koncert artystów lwowskich w Złoczowie

Odbył się w Złoczowie koncert na dochód wykończenia grobowca-kaplicy dla ofiar mordów ukraińskich. Dzięki łaskawemu i ofiarnemu współudziałowi artystów jako Misky-Oleskiej, p-ny Misky'ówny i Huberówny oraz Bedlewicza, pierwszego tenora opery lwowskiej, poznańskiej i warszawskiej koncert pod względem artystycznym przeszedł wszelkie oczekiwania publiczności, spragnionej prawdziwie artystycznego głosu i gry. Produkcje artystów znalazły też należyte uznanie w niemilknącym huku oklasków. Wspomnieć należy



GAZETA PORANNA

TRUDNE ŻYCIE „OLBRZYMA”

też o współudziale doskonałej, mistrzowskiej orkiestry, tutejszego 52 pp. pod wprawną batutą kapelmistrza p. Timofiejewa, jak wreszcie o bajecznej grze p. mecenasa dra Moszyńskiego, niestrudzonego organizatora koncertu.

Wszystkim wykonawcom koncertu na tak humanitarny i patriotyczny cel przesyła Komitet budowy grobowca tą drogą serdeczne staropolskie „Bóg zapłać”.

Kronika kołomyjska

Komitet do walki z drożyzną, która panoszy się u nas coraz bardziej mimo ustalania się waluty, ruszył się z błogiej nieczynności. Pod wpływem notatek dziennikarskich, a w głównej mierze wskutek korespondencji z Kołomyi, zamieszczonej w „Gazecie Porannej”, która pierwsza w sprawozdaniu z Rady miejskiej poruszyła tę piekącą sprawę, zwołał przewodniczący; Komitetu p. dyr. Staszkiwicz posiedzenie członków tego Komitetu i grona zaproszonych obywateli celem umyślenia środków zaradczych. Szeroka, teoretyczna debata, w której zabierał: głos pp. Starosta dr Pawlikowski, dr. Bahr, dr. Schor, radca Dobrucki i inni, wykazała zupełną bezczynność komitetu. Starostwo zastania się brakiem dyrektyw ze strony Województwa i spycha

czynność do niego należąca na Magistrat, który znowu zastania się brakiem odpowiedzi egzekutywy i tak w kółko. A tymczasem drożyzna rośnie u nas jak na drożdżach, chociaż faktycznie niema do tego powodu.

Zwłaszcza ceny mięsa wyrastają niepomierne mimo, iż cena bydła spadła o 75 prc.

Na wniosek dra Schora i radcy Dobrudzkiego uchwalono wszcząć energiczną akcję przeciw drożyznie celem położenia tamy wyzyskowi niesumiennych kupców, zarządzić zbadanie cen targowych i zażądać z Województwa stanisławowskiego danych statystycznych, aby na ich podstawie ustalić ceny lokalne.

Ponadto uchwalono upełnomocnić policję państwową w surowsze prerogatywy w tym celu i rozwinąć żywą akcję spółdzielczą, któraby skutecznie przeciwdziałała niczem nieuzasadnionej drożyznie i lichwie artykułów pierwszej potrzeby.

Jeszcze bardziej ciekawe są informacje ze świata.

Odszkodowanie za ranę, odniesioną przed urodzeniem

Trybunał w Filadelfii zastosował w ciekawy sposób dawną zasadę rzymską, według której dziecko poczęte jest uważane za urodzone z chwilą, gdy chodzi o jego prawa wyjątkowe. Przyznał on mianowicie wysokie odszkodowanie dziecku, które wskutek wypadku samochodowego zostało zranione w łonie matki i urodziło się kaleką.

Opis do ilustracji umieszczonej w „Gazecie Porannej”

Olbrzym norweski Aasen, którego wzrost mierzy 2 m. 62 cm., sprawia wiele kłopotu swemu krawcowi. Musi on bowiem, by wziąć miarę, wejść na drabinkę, a na ubranie zużyje dwa razy więcej materiału niż dla normalnego klienta. W tym stosunku wzrasta także i rachunek.

Została zachowana oryginalna pisownia

Humor żydowski

Szum Gryner udaje się do Towarzystwa Ubezpieczeń „Feniks”.

- Chciałbym ubezpieczyć się na życie.
- A ile ma pan lat?
- Sześćdziesiąt.
- Trochę za dużo...
- Tak, ale ja pochodzę z długowiecznej rodziny.
- Hm... zastanowimy się - powiada dyrektor. Proszę przyjść jutro.
- Jutro nie mogę. Szabas!
- To w poniedziałek.
- W poniedziałek nie mogę. Urodziny ojca.
- A ile lat ma ojciec?
- Osiemdziesiąt.
- W takim razie proszę przyjść we wtorek.
- Nie mogę. We wtorek jest ślub dziadka.
- A ile lat liczy sobie pański dziadek?
- Niedawno ukończył sto.
- I w tym wieku jeszcze chce się żenić?
- Co znaczy chce? Musi!

Rzecz dzieje się w Petersburgu. Żyd wpadł do Newy. Fala go zalewa. Żyd woła:

- Gwałtu! Ratunku!
- Wzdłuż brzegu przechadzają się dwaj carscy policjanci, ale ani im się śni reagować na krzyk tonącego.
- Ratunku!
- Policjanci szczerzą zęby w szyderczym uśmiechu.
- Żydowi śmierć zagłada w oczy. Unosi po raz ostatni głowę i krzyczy jak może najgłośniej:
- Precz z caratem!
- Policjanci momentalnie wskakują do rzeki, wyciągają go na brzeg i prowadzą do cyrkułu.

Zelig otrzymuje list z Ameryki. Zaczyna czytać i oznajmia grobowym głosem:

- Nasza ciotka Ruchla umarła...
- Oj, co za nieszczęście! - woła płaczącym głosem małżonka.
- Czekaj, czekaj! - mityguje ją Zelig. - Zapisała nam w testamencie pięć tysięcy dolarów...
- Aj, daj jej, Boże, zdrowie!

Żyd z Buczacza został skazany za sfałszowanie weksli. Karę aresztu powinien odsiedzieć w stanisławowskim więzieniu. Z ciężkim sercem i małym tobołkiem udaje się tedy na dworzec.

Po drodze spotyka przyjaciela. Ten pyta go:

- Dokąd idziesz, Chaim?
- Idę jechać siedzieć...

Spytajcie dziedzica antysemitę o Żydów, a odpowie wam:

- To najgorszy naród pod słońcem! Samo oszuści i złodzieje!
- A co pan powie o Dawidku?
- Hm... Dawidek to... pocziwości człowiek. Kupuje, panie dobrodzieju, moje zboże na pniu i nigdy nie próbował mnie wywieść w pole.
- A Samuel?
- Hm... uczciwości człowiek. Temu bym, panie dobrodzieju, powierzył cały swój majątek.
- Spytajcie Żyda o Żydów, a odpowie wam:
- To naród wybrany, naród proroków, mędrców i kapłanów!
- A jakie jest twoje zdanie o Dawidku?
- Oj, ten łotr, ten złodziej! On mi sprzedał wagon pszenicy, tfu, po jakiej cenie! Jak ty śmiesz przy mnie o nim mówić?
- A Samuel?
- Oj, niech go ziemia pochłonie!

HORACY SAFRIN
HUMOR ŻYDOWSKI



TARG W KOŁOMYI

Notatki z historii Galicji (cz. 2)

Ruch rewolucyjny lat 1848–1849 przetoczył się przez większą część państw Europy. Celem było obalenie feudalno-absolutystycznego ustroju i formowanie stosunków społecznych na zasadach władzy przedstawicielskiej, wyzwolenie zniewolonych narodów spod obcego panowania i ich polityczna samodzielność. W niektórych państwach wydarzeniom towarzyszyły ostre konflikty pomiędzy burżuazją i proletariatem (przykładem może być Francja), a w innych – ruchy wyzwolenicze różnych narodów (Austria). Nabrzmiwanie i wybuch wystąpień rewolucyjnych poprzedziło pogorszenie życia ludności, wywołane nieurodzajem z poprzednich lat i kryzysem przemysłowo-finansowym, szalejącym w Europie w 1847 r. Te wydarzenia rewolucyjne z lat 1848–1849 doprowadziły do aktywizacji zarówno polskiego, jak i ukraińskiego życia narodowego w Galicji.

PETRO HAWRYŁYSZYN

13 kwietnia 1848 r. we Lwowie Polacy tworzą Centralną Radę Narodową, która reprezentowała interesy szlachty galicyjskiej, polskiego mieszczaństwa i inteligencji. Ta instytucja pragnęła odnowić polską państwowość. W tym celu zaczęto formować w Galicji okręgowe rady polskie i Gwardię Narodową. 1–2 listopada 1848 r. pomiędzy wojskami austriackimi i Gwardią Narodową odbyły się walki, w których ta ostatnia poniosła porażkę. Działalność Centralnej Rady Narodowej została zakazana.

Ukraińcy zorganizowali swe przedstawicielstwo we Lwowie nieco później. 2 maja 1848 r. utworzono Główną Radę Ruską, która ich reprezentowała. Do składu Rady wchodził przeważnie przedstawiciele duchowieństwa greckokatolickiego. Na jej czele stanął biskup Hrihorij Jachymowycz (1792–1863). W manifestie z dnia 10 maja Główna Rada Rуска ogłosiła jedność całego 1,5 milionowego narodu ukraińskiego. Oprócz tego proponowała utworzenie ze Wschodniej Galicji, Bukowiny i Zakarpacia oddzielnego Kraju koronnego w składzie imperium



POŻAR LWOWSKIEGO RATUSZA W 1848 R. PO AUSTRIACKIM OSTRZALE

austriackiego. Językiem urzędowym i oświaty miał być język ukraiński. Ukraińcy mieli też swoje mniejsze rady po miastach, a także oddziały gwardii narodowej i samoobrony. Przeprowadzono znaczne działania kulturalno-oświatowe. 19 października 1848 r. Główna Rada Rуска zwołała Sobór ruskich naukowców. W 1850 r. powstało towarzystwo „Galicyjsko-Ruska macierz”, otwarto Dom Ludowy we Lwowie. Zaczęła się ukazywać ukraińska gazeta „Zorza Galicyjska”.

W odróżnieniu od polskiej Centralnej Rady Narodowej ukraińska Główna Rada Rуска nie charakteryzowała się taką radykalnością. Ukraińcy mieli lojalny stosunek do Wiednia. Ukraińskie żądania narodowe napotykały na silną opozycję ze strony polskich polityków. Aby rozbić jedność ruchu ukraińskiego utworzyli oni przeciwagę Główną Radę Ruską – nową organizację – Ruski Sobór i zaczęli wydawać gazetę „Dziennik Ruski”. Rada Główna otrzymała poparcie ze strony rządu austriackiego, który chciał mieć oparcie w galicyjskich Rusinach w walce z żywiołem polskim. Jednak rząd we Wiedniu nie kwapił się z zadowoleniem wymóg politycznych Rusinów, dlatego ich osiągnięcia ograniczyły się do sfery kultury.

Powstanie było inspirowane w warunkach kontrnatarcja

sił prourzędowych w Imperium Austriackim. Powstańców poparli przedstawiciele Demokratycznego Towarzystwa Polskiego, przybyli do Galicji z emigracji. Po odmowie współpracy z polską Centralną Radą Narodową, zwolenniczką legalnych metod walki o zdobycie narodowo-terytorialnej autonomii Galicji w ramach Państwa Austriackiego, rozwinęli aktywną propagandę wśród dołów miejskich, Gwardii Narodowej i studenckiego „Legionu Akademickiego” i wysunęli hasło natychmiastowych radykalnych zmian politycznych.

Po powstaniu październikowym 1848 r. w Wiedniu wśród ludności Lwowa zaczęły się szerzyć apele o naśladowanie wiedeńskich powstańców. 1 listopada wojsko austriackie użyło broni przeciwko tłumom i to stało się impulsem do wybuchu powstania. W ciągu nocy na ulicach, otaczających Rynek, wzniesiono 25 barykad. Całe centrum miasta okazało się w rękach powstańców, robotników i rzemieślników. Uzbrojeni byli w strzelby, kosy, siekiery i szable. Do nich dołączyła część Gwardii Narodowej i studenci „Legionu Akademickiego”.

Rankiem 2 listopada pomiędzy powstańcami i regularnymi wojskami rządowymi wybuchły zbrojne walki. Umiarkowane kierownictwo



GUARDIA NARODOWA W 1848 R. MAL. JULIUSZ KOSSAK, AKWARELA

Centralnej Rady narodowej, część Gwardii Narodowej i tzw. Komitet bezpieczeństwa społecznego starały się powstrzymać powstańców i zaczęły rozmowy z dowódcą wojsk austriackich gen. Hammesteinem. Jednak rozmowy trwały niedługo. O godz. 10. rano 2 listopada wydał on rozkaz ostrzelania miasta ogniem artyleryjskim. Zginęło 55 osób, 75 zostało rannych, spłonęły niektóre zabudowania lwowskiego Uniwersytetu – dawnego klasztoru trynitarzy, spłonęła biblioteka uniwersytecka, Stary teatr, Akademia Techniczna i Ratusz. O godz. 12 delegacja pełnomocnych przedstawicieli miasta podpisała kapitulację.

3 listopada w mieście ogłoszono stan wyjątkowy. Kilkaset uczestników powstania oddano pod sąd wojskowy, Gwardię Narodową rozpuszczono, zakazano zebrań, działalności organizacji politycznych, zamknięto dzienniki – oprócz rządowych. W taki sposób utracono wiele zdobyczy rewolucji w Galicji.

Według historyków, porażka powstania we Lwowie, jak i w Krakowie, Pradze i Wiedniu spowodowała tymczasowy powrót absolutyzmu w Imperium Austriackim. Jednocześnie

powstanie zademonstrowało gotowość niektórych sił politycznych do dalszego podążania demokratyczną drogą rozwoju społeczeństwa. Jego upadek stał się lekcją dla wielu polityków, mówiącą, że obronę demokratycznego rozwoju, przyszłości narodu i realizację dążeń państwowych należy rozwiązywać nie na barykadach, lecz poprzez trwałą „pracę organiczną”. Polskie siły polityczne Galicji skorzystały z tych doświadczeń, co dało możliwość przygotować grunt pod odrodzenie państwowości w 1918 r.

Polacy, pomimo porażki tej rewolucji, zdobyli jednak pewne osiągnięcia na terenach Galicji. Gubernialne kierowanie Krajem zastąpiono Namiestnictwem. W 1849 r. namiestnikiem Galicji został hrabia Agenor Gołuchowski (1812–1875), pochodzący ze znanego polskiego rodu szlacheckiego. Zajął on ugodową pozycję wobec Wiednia, przy jednoczesnym wspieraniu dążeń polskich. Na tej podsadzie trwał do 1859 r. Ukraińcom udało się wywalczyć katedrę filologii ukraińskiej na Uniwersytecie Lwowskim, na czele której stanął Jakub Hołowacki.

Rewolucja 1848–1849 r. poniosła klęskę. Większość politycznych i socjalnych swobód, zdobytych przez narody Europy, zostało odebrane na okres restauracji obalonych przez nie reżymów. Jedynym osiągnięciem było skasowanie pańszczyzny. Rewolucja nadała impuls do formowania liberalizmu, doprowadziła do zmian strukturalnych w systemie zarządzania państwami, sprzyjając stopniowemu przejściu do konstytucyjnych norm życia społeczeństwa. Wzmogły się ruchy narodowe i uformowano pojęcie tożsamości narodowej.

Na podstawie:

1. Грицак Ярослав Йосипович. Нариси з історії України: формування української модерної нації. Київ: Генеза, 2000. 249 с.

2. Дейвіс Норман. Боже ігрище: історія Польщі; пер. з англ. П. Таращук. К.: Вид-во Соломії Павличко „Основи”, 2008. 1080 с.

3. Кралюк П. Українці і поляки. 1000 років (не)порозуміння. Харків, Фоліо, 2021. 317 с.

4. Польша – нарис історії / за ред.: Владзімежа Менджецького та Єжи Брацисевича; пер. з пол. Івана Сварника; Ін-т нац. пам’яті, Коміс. переслідування злочинів проти пол. народу. Варшава: Вид-во Ін-т нац. пам’яті, 2015. 365 с.

5. Стеблій Ф. І. Львівське повстання 1848 // Енциклопедія історії України: у 10 т. / редкол.: В. А. Смолій (голова) та ін.; Інститут історії України НАН України. К.: Наукова думка, 2009. Т. 6



GUARDIA NARODOWA NA PLACU AM HOF WE WIEDNIU W 1848 R. OBRAZ POWSTAŁ W 1848 R.

Legendy starego Stanisławowa (cz. 85)

IWAN BONDAREW

Pomarańczowy król

W jednym z artykułów „Reportera” wydrukowano stare zdjęcie terenu na przeciwko kina „Kosmos”, datowane latami 1970. O długim budynku pod blaszanym dachem, stojącym prostopadle do dzisiejszej ul. Niezależności, nasz stały czytelnik Aleksander Wołkow opowiedział taką historię.

Wcześniej mieściły się tam magazyny instytucji „Handlu artykułami spożywczymi”, po prawej przylegały do nich wielkie chłodnie, a za nimi – garaże.

W 1976 r. spod gestii tej instytucji wyprowadzono handel owocami i utworzono odrębną organizację – „Kombinat owocowy”. Aleksander Wołkow został dyrektorem sklepu Nr 302 przy ul. Mazepy 42. Pod koniec 1976 r. do miasta przystano olbrzymią partię pomarańczy. Z owocami z tropików było wówczas trudno. Bananów we Frankiwsku w ogóle nie było, a mandarynki czy pomarańcze przywożono jedynie w okresie Nowego Roku. Od wielkiego święta – czasem na 8 marca. Dostarczano je bezpośrednio z portu w Odessie. Były dwa gatunki pomarańczy: małe i kwaśne z Gruzji oraz duże i słodkie z Turcji. Te ostatnie trafiały się rzadko. Cena ich była jednakowa – 1,4 rubla za kilogram. Magazyny Kombinatów znajdowały się na końcu dzisiejszej ul. Dudajewa i tam przeważnie przywożono tureckie owoce.

Większą ich część sprzedano przez pięć sklepów przed Nowym Rokiem. Wywołało to wielkie poruszenie, skandal i o mało nie dochodziło do bójek w kolejkach. Jednorazowo sprzedawano po 2 kg na osobę, ale i tak wszystkim chętnym nie starczyło...

W magazynach przechowywano kilka cetnarów owoców z tzw. „puli dyrektorskiej”. Jednak trzymać je tam było niebezpiecznie, bo magazyny regularnie były inspektowane przez różne komisje, milicję i kontrolę obywatelską. Po świętach dyrektor magazynów wezwał do siebie Wołkova i nakazał mu schować resztki pomarańczy. W tym celu uzgodniono dzierżawę jednej z lodówek od „Handlu artykułami spożywczymi”. Klucze od niej wręczono osobiście Aleksandrowi.

Po tym rozpoczęła się tajna operacja „Realizacja”. Dyrektor Kombinatów wydawał swoim klientom kartki z pozwoleniem na sprzedaż pomarańczy, a Aleksander Wołkow w ustalonej godzinie sprzedawał



ZE ŹRÓDEŁ INTERNETOWYCH

W ZSSR POMARAŃCZE BYŁY ARTYKUŁEM DEFICYTOWYM



OKŁADKA Z RADZIECKIEJ PŁYTY

SOFIJA ROTARU

owoce prosto z lodówki. Za kilka tygodni Wołkow został prawdziwym pomarańczowym królem, bo jedynie on miał dostęp do egzotycznych owoców. Część z nich przekazał swoim dostawcom za dostawy chodliwych towarów do sklepu Nr 302. W ten sposób obrót towarów w sklepie wzrósł i pracownicy dostali premię.

Kontrola obywatelska o tej akcji nie się dowiedziała.

Przeklęty blok z ładnym widokiem

Przez dłuższy czas najwyższym mieszkalnym blokiem był dwunastopiętrowy budynek przy ul. Nadbrzeżnej 28. Blok wystawiono w 1977 r., o czym informowała tablica pamiątkowa umieszczona na jego fasadzie. Na parterze był sklep spożywczy, a na piętrach – mieszkania lokatorów. Wielu z nich było pracownikami sąsiedniego Instytutu Nafty i Gazu. Z okien na górnych piętrach roztaczał się wspaniały widok na dolinę Bystrzycy Sołotwińskiej i dalekich Karpat.

Miał on jednak pewną osobliwość, o której raczej nie wspomiano. Dwunastopiętrowa budowla jak magnes przyciągała samobójców z całego miasta. Znany artysta Jarema Stecyk, który spędził swe dzieciństwo na ul. Nadbrzeżnej, zapamiętał interesujące zdarzenia.

– Na górnych piętrach od razu zjawiały się w oknach kraty. Około roku 1987 zjeżdżali do nas samobójcy z całego



ZDJEŃCIE AUTORA

BUDOWA TEJ PRZYCHODNI OKRYTA BYŁA SZCZELNĄ ZASŁONĄ DYMNĄ

Frankiwska. Gdy my, chłopcy, widzieliśmy wokół jakiś ruch czy karetki pod blokiem, to rozumieliśmy, że jest ktoś „świeży”. Takich przypadków było wiele i były częste. Dobrze, że teraz jest tego mniej. Nasze dzieciństwo było pełne takich czarnych kart. Prawda, po jakimś czasie przyzwyczajaliśmy się i nawet żartowaliśmy sobie, pytając: „Ile złotych zębów znaleziono tym razem?”.

Czarna-czarna historia

Jest taka anegdota: „W czarnym-czarnym lesie, na czarnej-czarnej polanie, stoją dwaj czarni-czarni mężczyźni i jeden mówi do drugiego: „I po co, Wasylu, paliliśmy te opony?”. Coś podobnego zdarzyło się też w naszym mieście.

Około 1978 r. zaczęto budowę nowej miejskiej przychodni przy ul. Prawdy (ob. Długa). Robotnicy długo zabierali się do pracy, aż wreszcie wyryto wykop pod fundamenty. Zgodnie z harmonogramem miano już wbijać słupy pod konstrukcję, a tu akurat uderzył mróz. Ziemia zamarzła i słupy w żaden sposób nie chciały wchodzić. Ktoś z inżynierów zaproponował genialne wyjście. Zwieziono olbrzymią ilość zużytych opon, wyscielono nimi dno wykopu i... podpalono. Według autorów pomysłu miało to rozgrzać ziemię na tyle, że można byłoby kontynuować opóźnione prace. Pomysł udał się, ale...

Tworząca się podczas palenia guma sadza musiała gdzieś osiąść. I osiadła! Czarne były wokół drzewa, płoty, okna okolicznych domów i zaparkowane auta.

Wspominają, że nad miastem unosił się czarny słup dymu, niby wszystkie pałace się pod Kurskiem czołgi. Mój kolega, który wyszedł do szkoły w białej kurteczce, do domu wrócił w czymś podobnym do odzieży roboczej w kolorze brudno-szarym. Nie był zresztą wyjątkiem.

Ale skończyło się wszystko dobrze: przychodnię zbudowano, lecz się tam teraz wielu mieszkańców i nikt nie wspomina tamtych wydarzeń. I słusznie!

Tajemnica „Troistych muzyków”

Fasadę miejskiego teatru dramatycznego ozdobił płaskorzeźba „Trojści muzycy”. Jej autorem był znany rzeźbiarz, laureat premii im. Szewczenki Wasyl Wilszuk. Płaskorzeźba jest olbrzymia – ma 120 m kw. powierzchni. Jasne, że jedna osoba nie podołałaby tej pracy, więc była cała grupa zawodowych autorów plus kilku pomocników. Jednym z nich był Sergij Lapko, który opowiedział interesująca historię.

– Był rok 1978 lub 1979. Mój przyjaciel, Roman Humenny, zaproponował mi dorobić sobie. Na murze teatru autorzy naszkicowali przyszłe dzieło, a my mieliśmy wyrębywać detale zgodnie z wykrojami, co dawało efekt objętości. Było nas pięciu, lub sześciu, każdy z nas miał swój wycinek pracy. Ja dostałem lewą połowę (plecy i to co poniżej) lewego Hucuła, grającego na skrzypcach. Pracowaliśmy przeważnie po pracy przez chyba dwa tygodnie na rusztowaniach z zabezpieczeniem, około trzy godziny dziennie. Płacono dobrze. Po wstępnych pracach do działania przystąpili zawodowi artyści, którzy doprowadzali po nas wszystko do odpowiedniego kształtu.

Pracę mieliśmy niełatwą, gdyż wyciśywaliśmy wszystko siekierami, a kamień był twardy – chyba piaskowiec, już nie pamiętam. Pewnego razu postanowiliśmy

ułatwić sobie zadanie. Wykorzystaliśmy kompresor i uruchomiliśmy młot pneumatyczny. Ledwo zacząłem pracę, jak mojemu Hucułowi odpadła połowa tego na czym się siedzi. Myślałem, że to już katastrofa, ale autorzy uspokoili mnie – „To bajka, zaszpacujemy”.

Wstawili tam trójkątną „protezę” i z poziomu ulicy nic nie widać. Ale ja, przechodząc obok, zawsze ją widzę.

Niedobre kwiaty

Życie wybitnych postaci zawsze spowite jest plotkami. Proszę się zgodzić, o wiele ciekawiej jest omawiać miłośki gwiazd show-biznesu niż zdrady żony sąsiada-hydraulika Wasi z sąsiedniej klatki. Swego czasu po mieście krążyła popularna plotka o Sofiji Rotaru.

W latach 1970. często gościła w naszym mieście. Wówczas z salami koncertowymi było u nas trudno i odwiedzające miasto gwiazdy śpiewały przeważnie w rozebrany niedawno Pałacu sportu – (pisaliśmy o nim w poprzednich „Legendach”). Sala była olbrzymia – największa w mieście, ale na tym walory pałacu się kończyły. W mieście nazywano go „stajnią” i nie na próżno. Pomieszczenie było absolutnie nieprzystosowane do koncertów – dźwięk był fatalny, a podczas deszczu ze stropu kapało jak z wiadra.

W 1979 r. Sofija Rotaru kategorię odmówiła udziału w koncercie w „stajni”. Była już Ludową artystką Ukrainy i mogła tego dla siebie wymagać. Pojawiła się kwestia – gdzie zorganizować koncert? Teatr dramatyczny nie był jeszcze ukończony, Filharmonia nie mogła pomieścić wszystkich chętnych, a występ takiej artystki w kinie – to było niesolidne. I tu przypomniało sobie o auli w Instytucie Nafty i Gazu. Była dość duża, akustyka nie do porównania z Pałacem sportu. Impresario piosenkarki nie miał nic przeciwko temu i na tym stanęło.

Artystka wystąpiła wspaniale, otrzymała huczne brawa i morze kwiatów. Ale na zapleczu wydarzył się przykry incydent – w jednym z bukietów artystka znalazła bilecik z napisem: „Przestań roznosić gruzlicę!”.

W tym czasie plotkowano, że Sofija jest chora na gruźlicę i ktoś postanowił ukłuć boleśnie artystkę. To mu się udało. Sofija Rotaru obraziła się i powiedziała, że noga jej więcej we Frankiwsku nie stanie. I faktycznie przez 20 lat omijała nasze miasto i następny jej koncert odbył się dopiero w 1999 r. w ramach kampanii wyborczej Leonida Kuczmy.

Ale z płucami artystka rzeczywiście miała kłopoty. W mediach często zjawiała się informacja, że choruje na astmę. Osiedła w Jałcie, gdzie nasyczone solami i jodem powietrze pomogło artystce poprawić zdrowie.



ZDJEŃCIE AUTORA

12-PIĘTROWY BLOK PRZY UL. NADBRZEŻNEJ 28



JULIA STOWPIUK

PŁASKORZEŻBA NA FRONTONIE TEATRU DRAMATYCZNEGO

Nowa książka o wojennej historii ziemi stanisławowskiej

Niedawno światło dzienne ujrzała monografia autorstwa dra PIOTRA OLECHOWSKIEGO „W cieniu dwóch totalitaryzmów. Życie codzienne na ziemi stanisławowskiej 1939–1944” (Warszawa 2023, ss. 340, Wydawnictwo Instytutu Pileckiego). Książka ma za zadanie porównanie sytuacji ludności cywilnej na analizowanym obszarze w okresie „pierwszego Sowietu” 1939–1941 oraz w latach okupacji niemieckiej 1941–1944. Zachęcamy zatem do lektury wywiadu z autorem, który przeprowadził ADAM R. KACZYŃSKI.

Panie Doktorze, dlaczego ziemia stanisławowska? Skąd taki właśnie wybór obszaru badawczego, w dodatku jako porównanie życia codziennego w okresie dwóch okupacji w latach II wojny światowej?

Zawsze należy poszukiwać nowych inspiracji badawczych, nie porzucając przy tym dotychczasowych zainteresowań. Po kilku latach badań nad historią Polaków we Lwowie po II wojnie światowej zdecydowałem się na podjęcie nowej tematyki, dotyczącej często zaniechanego w badaniach historycznych życia codziennego. Wybór ziemi stanisławowskiej jako obszaru badań nie był przypadkowy, gdyż od kilku lat corocznie biorę udział w odbywającej się we wrześniu Międzynarodowej Konferencji Naukowej „Stanisławów i Ziemia Stanisławowska”. W 2020 r. zgłosiłem więc swój wniosek na konkurs „Polski Wiek XX – Nowe Perspektywy”, organizowany przez Instytut Pileckiego w Warszawie. Decyzją komisji konkursowej zostałem wtedy jednym z pięciu laureatów, mających za zadanie przygotowanie autorskich monografii na zaproponowane przez siebie tematy.

Ziemia stanisławowska w okresie międzywojennym była dość specyficznym terenem, gdzie ludność polska, zwłaszcza na prowincji, stanowiła zdecydowaną mniejszość.

Dokładnie tak. Poza większymi miastami, jak Stanisławów czy Kołomyja, w mniejszych ośrodkach w momencie rozpoczęcia II wojny światowej przeżywała ludność żydowska, na prowincji natomiast zdecydowanie ukraińska. Na pewnych obszarach w ogóle nie zamieszkiwali Polacy. Uważam jednak, że w badaniach nad przeszłością tych ziem należy odrzucić podejście sentymentalno-nostalgiczne, które wciąż dominuje w wielu publikacjach, także niestety tych o charakterze

naukowym. Historyk nie może tymczasem utożsamiać się z poglądami bohaterów swoich prac, lecz ma obowiązek dokonywania chłodnej i niezaangażowanej emocjonalnie oceny zachodzących zjawisk. Tylko w ten sposób powstaje szansa, aby uzyskać możliwie jak najbardziej obiektywny obraz przeszłości. Nie piszę zatem wyłącznie o Polakach, ale także o Ukraińcach i Żydach, co przynosi tylko jeszcze większą wartość poznawczą.

Jak wyglądała praca badawcza?

Zgodnie z wytycznymi konkursu, na przygotowanie monografii przewidziano zaledwie 15 miesięcy. W dodatku okres rozpoczęcia prac zbiegł się niestety z czasem pandemii, która mocno ograniczyła możliwości wyjazdów badawczych. Szczęśliwie ogrom materiału źródłowego udało się zebrać we wcześniejszych latach, podczas odbywania stażów naukowych na Przykarpacim Narodowym Uniwersytecie im. Wasyła Stefanyka w Iwano-Frankiwsku. Książka została jednak ukończona w terminie, a przez następne kilkanaście miesięcy trwały procedury recenzyjne i wydawnicze.

Co stanowiło podstawę źródłową podczas pracy nad książką?

Wobec ogromnych braków źródłowych, dotyczących przede wszystkim okresu „pierwszego Sowietu” 1939–1941 (materiały te zostały celowo zniszczone bądź w pośpiechu wywiezione przez ewakuujący się w obliczu nadciągających wojsk niemieckich radziecki aparat państwowy w czerwcu 1941 r.) trzeba było oprzeć się na innych danych. Tych dostarczyła na szczęście prasa codzienna (głównie w języku ukraińskim), ukazująca się w okresie obu okupacji. Wykorzystałem ponadto wspomnienia mieszkańców narodowości polskiej, ukraińskiej i żydowskiej, szereg opracowań naukowych, a także wiele innych źródeł, choćby zachowanych fragmentów kronik filmowych z epoki. Niemniej, dokumenty archiwalne również zostały wykorzystane w toku narracji.

Jak wygląda układ pracy?

Książka ma na celu porównanie warunków życia codziennego w okresie dwóch okupacji. Uznałem jednak, że przejście do zasadniczej narracji powinno zostać poprzedzone odpowiednim wprowadzeniem. Stąd też zamieściłem prolog, przedstawiający sytuację w regionie w okresie międzywojennym. Kolejne rozdziały dotyczą już okoliczności zaprowadzenia dwóch okupacji, a także zachodzących wówczas istotnych zmian w sferze życia codziennego. Można zatem zapoznać się z zasadami funkcjonowania



handlu, edukacji, przemysłu, służby zdrowia i kwestii sanitarnych, ale także wysokością podatków i opłat za rozmaite usługi, czy też wszechobecnej propagandy. Nie pominąłem przy tym czasu wolnego, który uznaję za najistotniejszy element życia codziennego, także w warunkach okupacyjnych. Główną oś narracji wyznaczają dwa najważniejsze miasta regionu – Stanisławów i Kołomyja, nie brakuje jednak też informacji o sytuacji w mniejszych ośrodkach, jak Kałusz, Rohatyn czy Dolina, a także zupełnie prowincjonalnych miejscowościach i wsiach. Łącznie zatem, oprócz wstępu, prologu i zakończenia, książka liczy cztery rozdziały, z których dwa dotyczą okupacji radzieckiej, a dwa niemieckiej. Na ostateczny kształt monografii duży wpływ miały także ograniczenia objętościowe, narzucone przez Wydawcę. Nie można było więc dogłębnie ukazać wszystkich procesów. Podobnie rzecz wygląda w kwestii przypisów – Wydawca nie zgodził się na ich publikację w oryginale (w języku ukraińskim i rosyjskim, cyrylicą), stąd też dokonana transkrypcja łacińska.

Czy czytelnicy na Ukrainie będą mieli szansę zapoznać się z treścią książki?

Jak najbardziej. Poczyniłem już starania, aby egzemplarze zostały przekazane do odpowiednich bibliotek w Iwano-Frankiwsku (Biblioteka Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego, Biblioteka Obwodowa oraz Biblioteka Przykarpacim Narodowego Uniwersytetu im. Wasyła Stefanyka), a także we Lwowie (Biblioteka Stefanyka, Biblioteka Uniwersytetu im. Iwana Franki, Biblioteka Centrum Historii Miejskiej, Biblioteka Ukraińskiego Katolickiego Uniwersytetu oraz Biblioteka Centrum Badań Stosunków Polsko-Ukraińskich przy Instytucie Ukrainoznawstwa im. Iwana Krypjakewycza). Zawsze uważałem bowiem, że należy w ten sposób umożliwić zapoznanie się z własnymi ustaleniami badawczymi wszystkim zainteresowanym, szczególnie, gdy tematyka dotyczy tychże ziem.

Jakie ma Pan plany badawcze na najbliższą przyszłość?

Już wiosną br. w formie monografii ukaże się moja rozprawa doktorska, poświęcona Polakom we Lwowie w latach 1944–1959, obroniona w 2019 r. na Uniwersytecie Rzeszowskim. Niestety doprowadzenie do jej opublikowania trwało bez mała aż pięć lat, ze względu na rozmaite okoliczności pozamerytoryczne.

W każdym razie książka liczyć będzie ponad 500 stron, na których ukazane zostaną wszystkie aspekty funkcjonowania ludności polskiej we Lwowie w ciągu powyższych 15 lat (polskojęzyczne szkolnictwo powszechne, funkcjonowanie Kościoła rzymskokatolickiego, losy polskich uczonych pozostałych na miejscu, kwestie życia codziennego, a także obecność kultury polskiej w radzieckim już ośrodku miejskim).

Poza tym, jak już mówiłem, w pracy badawczej należy stale poszukiwać nowych inspiracji, związanych także z przekraczaniem swego rodzaju granic. Jakiś czas temu uznałem więc, że należy wyjść poza obszar dawnej Galicji Wschodniej, przekraczając niejako międzywojenną granicę na Zbruczu. Obecnie zamykam zatem kolejny projekt badawczy, poświęcony zupełnie innemu zagadnieniu. Chodzi tu mianowicie o represję radzieckiego aparatu bezpieczeństwa wobec Polaków na obszarze ówczesnego obwodu kamieniecko-podolskiego (utworzonego we wrześniu 1937 r.) w ramach Wielkiego Terroru lat 1937–1938, skazanych na podstawie słynnego rozkazu 00485, rozpoczynającego Operację Polską. Podstawę źródłową stanowią w tym przypadku indywidualne teczkę karno-śledcze, spośród których starałem się wybrać te, które umożliwią ukazanie skali represji wobec całego przekroju polskiego społeczeństwa zamieszkłego w okresie międzywojennym tuż za Zbruczem, na Ukrainie Radzieckiej. W ten sposób poznamy dolę zarówno nielicznej już inteligencji, urzędników państwowych, nauczycieli, ale także rzemieślników, kolejarzy, kupców oraz rolników, kołchoźników i zwykłych bezrobotnych chłopów. Co jednak istotne, narracja obejmuje także lata pięćdziesiąte XX stulecia, kiedy to po śmierci Stalina wiele z powyższych śledztw zostało poddanych rewizji. Rodziny skazanych poznały wówczas tylko częściowo prawdę o losach swych bliskich – ówczesne KGB informowało bowiem, że ich krewny został pośmiertnie zrehabilitowany, jednakże nigdy nie podawało informacji o skazaniu na śmierć i rozstrzelaniu takiej osoby w latach 1937–1938. Na potrzeby każdej sprawy wymyślano wówczas fikcyjną datę dzienną rzekomego zgonu na zesłaniu, z powodu przewlekłej choroby (podawano przy tym, że dana osoba otrzymała wyrok 8 lub 10 lat pobytu w łagrze, co oczywiście nie było prawdą). Całość wyszła na jaw dopiero na przełomie lat 80/90. XX wieku, a w niektórych przypadkach nawet dekadę później. W założeniu powyższa książka ma w niedalekiej przyszłości stanowić podstawę wniosku o nadanie stopnia doktora habilitowanego.

Partnerzy medialni

